

LUBELSKIE ECHA WIELKIEGO PAŹDZIERNIKA

Józef Marczuk

ZWYCIĘSTWO rewolucji lutowej i obalenie caratu w Rosji odbiło się głośnym echem na ziemiach Polski i na Lubelszczyźnie. Postanowienia Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych, głoszące prawo Polski do całkowitej niepodległości, zostały z radością przyjęte przez klasę robotniczą. Wydarzenia rewolucyjne miały ogromny wpływ na wzrost aktywności politycznej społeczeństwa, szczególnie zaś na radykalizację partii robotniczych. W środowiskach robotniczych wzmożyły się walki strajkowe i demonstracje.

W Lublinie antyokupacyjne wystąpienia związane z rewolucją lutową notowano w końcu marca 1917 roku. Donosił o tym przedstawiciel rządu austriackiego w Lublinie w depeście z 28 marca skierowanej do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Wiedniu. Stwierdził on, że partie radykalne zorganizowały w mieście pochód, stanowiący demonstrację przeciw władzom okupacyjnym. W pochodzie wzięło udział około 300 demonstrantów, którzy śpiewali „Marsyliankę” i rosyjskie pieśni rewolucyjne, oraz wznosili głośne okrzyki przeciw generalgubernatorowi wojskowemu i na cześć rewolucji. Dalej w depeście informowała, że w szerokich masach panuje głęboko

niezadowolone. Uwidoczniło się to na jednym z poprzednio zorganizowanych zebrań, w czasie którego najostrejsze występowały skargi na rekwizycje, na ociąganie się władz z przekazaniem sprawy legionów Tymczasowej Radzie Stanu oraz na trudności czynione Radzie Miejskiej Lublina.

Przyjazny stosunek do rewolucji lutowej w Rosji ujawnił się w lubelskiej organizacji PPS. Dobitnie wyraziły to uchwały wieceu zwolanego przez PPS-Frakcję w dniu 22 kwietnia 1917 roku. *Wiece robotnicze w Lublinie* — czytamy w uchwale — *wita serdecznie rewolucję rosyjską jako jutrzejkę nowej epoki w życiu państwowym Rosji. W upadku caratu widzi wiecie zapowiedź zupełnego zwycięstwa idei demokratycznych i proletariackich nie tylko w Rosji, ale i na całym świecie.* Uczestnicy wieceu stwierdzali, że wobec zaszłej zmiany w stosunkach politycznych państwa rosyjskiego proletariat polski nie ma zamiaru prowadzić wojny z wolną Rosją.

Nastroje opozycji wobec władz okupacyjnych wzmożyły się wśród robotników Lublina w związku z obchodem święta 1 Maja 1917 roku. Działalność polityczną rozwijali znacznie szerzej niż w latach uble-

Dokończenie na str. 5

PRZED VII KONGRESEM ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

O czym chcą mówić nasi delegaci

W dniach 13-15 listopada odbędzie się w Warszawie VII Kongres Związków Zawodowych. Już od dwóch lat trwała dyskusja — w której „Kamena” zabierała głos — na temat roli, jaką w naszym życiu polityczno-społecznym i gospodarczym mają odgrywać związki zawodowe. Skupiają one w kraju około 10 milionów ludzi pracy, a więc tych, którzy decydują o naszym życiu na dziś i na jutro. Biorąc pod uwagę opinie swoich członków, Kongres podejmie odpowiednie uchwały, chociaż zapewne na ten czy inny temat dyskusje szczególne będą trwały nadal.

Na rozmowę w redakcji zaprosiliśmy siedmiu delegatów na Kongres, a dodatkowo Wojewódzkiego Inspektora Pracy. Chcieliśmy się dowiedzieć, jakie sprawy chcą oni przedstawić na Kongresie, na plenum lub w komisjach, w imieniu związkowców Lubelszczyzny. Oto — w skrócie — ich wypowiedzi.

BOGDAN GRABOWSKI
Zw. Zawodowy Metalowców

Zarówno osiągnięcia produkcyjne jak i socjalno-bytowe WSK w Świdniku znane są z prasy codziennej. Ale myślę, że mogłyby one być większe, gdyby przedsiębiorstwa miały jeszcze więcej samodzielności. Wciąż zbyt często trzeba odwoływać się do zjednoczenia lub ministerstwa, wskutek czego marnuje się wiele energii, inicjatywy, bo nie zawsze można działać szybko. Z tym łączy się fakt, że uchwały samorządów robotniczych nie są dostatecznie realizowane przez jednostki zwierzchnie, zwłaszcza zjednoczenia. Najwyższy czas, aby tam uwierzyli, że my naprawdę mamy wielu dobrych inżynierów, ekonomistów, organizatorów pracy, a lepiej znamy warunki lokalne i załogę. Gdyby np. zjednoczenia bardziej operatywnie zajęły się gospodarką materiałową, zwłaszcza terminową dostawą potrzebnych materiałów i wyrobów, moglibyśmy uzyskać całkiem poważne źródło zwiększenia naszego dochodu narodowego.

Świdnik jest już 25-tysięcznym miastem i to bardzo prężnym demograficznie. Brak nam 2 przedszkoli, 2 szkół podstawowych (nauka w istniejących trwa do godz.

18), dopiero po interwencjach uzyskaliśmy dodatkową klasę w szkole średniej. Brakuje nam świetlic, dom kultury buduje się tylko na papierze. Jest wiele kobiet, dla których brakuje miejsc pracy.

Żałoga wysuwa również sprawę tzw. zatrudnienia socjalnego — ludzi po wielu latach wysiłku już nie posiadających pełnej zdolności do pracy. A stanowią oni około 10 proc. załogi WSK. Dobrze, że nasza WKZZ podjęła się koordynacji budowy wspólnych ośrodków czasowych i sanatoriów, trwałych, dobrze wyposażonych. Nie stać nas już na budowę domków kempingowych. Ale dlaczego my, drugi największy zakład pracy w województwie, nie możemy uzyskać zgody na budowę sanatorium w Nałęczowie, podczas gdy inni budują?

ROMUALD JANKOWSKI
przewodniczący WKZZ

Na Kongresie chcemy przedstawić przede wszystkim problemy związane ze skuteczniejszą ochroną pracy, bo mimo stałego zwiększania nakładów liczba wypadków wciąż wzrasta. Około 20 proc. stanowisk pracy w naszym województwie zalicza się do kategorii szkodliwych dla zdrowia lub za-

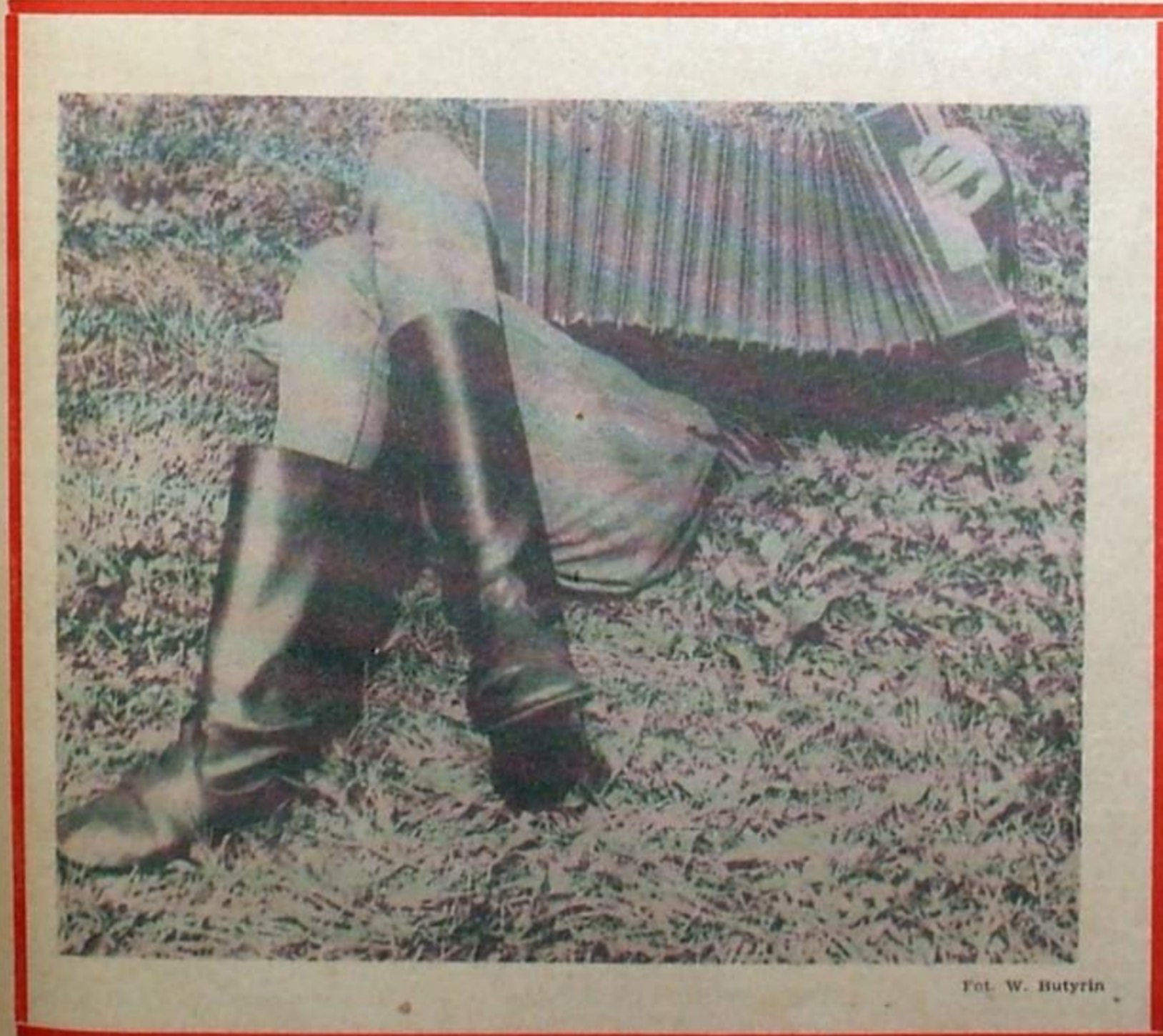
grożonych wypadkiem. To kapitalny problem społeczno-gospodarczy, a z nim wiąże się wzrastająca absencja chorobowa czy wcześniejsze przechodzenie na emeryturę. Szkodliwość i zagrożenie wynikają zarówno z zaniedbań przeszłości jak i technologii produkcji.

W porównaniu z rokiem 1970 zwiększyliśmy o połowę liczbę osób, korzystających z wczasów w zakładowych ośrodkach wypoczynkowych, dochodząc do 90 tys. Moglibyśmy znów zwiększyć podobnie, gdyby wszystkie ośrodki wydłużyły pracę o połowę czerwca i połowę września i gdyby w naszych zakładach pracy prowadzono lepszą politykę urlopową. Na ogół tej polityki brak całkowicie.

Związkowcy twierdzą, że skuteczność naszego działania w prawidłowym kształtowaniu się stosunków międzyludzkich jest zbyt mała, zwłaszcza w środowiskach spółdzielczych pracy i pracowników rolnych (głównie chodzi o kółka rolnicze). Ulepszamy nasze działanie, ale widocznie jeszcze niedostatecznie.

Po VII i VIII Plenum KC PZPR, po XXI i XXII Plenum CRZZ wiemy już, że współzawodnictwem pracy nie można administrować.

Dokończenie na str. 4



Fot. W. Butyrin

Jak specjalizować ekonomistów?

Romuald Poliński

WŚROD wypowiedzi dyskusyjnych dotyczących wyższego szkolnictwa ekonomicznego szczególnie cenne i trafne są głosy i wnioski o konieczności doskonalenia systemu jednolitych stacjonarnych studiów magisterskich. W warunkach coraz szybszego rozwoju zarówno gospodarki socjalistycznej, jak i traktujących o niej nauk ekonomicznych, głównym zadaniem szkoły wyższej jest kształcenie ekonomistów umiających myśleć koncepcyjnie i samodzielnych analityków gospodarki.

Tymczasem w obecnym kształcie studiów ekonomicznych zawarty jest branżowy model specjalizacji, który powstał i działał jako wynik niedorozwoju systemu funkcjonowania gospodarki, niedojrzałości jej teorii i analizy oraz metodologicznej wiedzy o racjonalizacji decyzji gospodarczych. Z konieczności więc nauczanie podstaw specjalizacji polegało na opisie organizacyjnie wyodrębnionych branż oraz systemów administracyjnego zarządzania.

Szkoły wyższe przygotowywały kadry dla czynności dających się traktować wąsko i zrutyinizowanych. Wyposażały w wiedzę encyklopedyczną w zakresie danej gałęzi gospodarki, przygotowując do spełnienia wszystkich funkcji w danej branży, z konieczności — oczywiście — w sposób dyktancki. Poważną część absolwentów takich studiów gubiła się zupełnie wśród stawianych im zadań praktycznych, schodziła na margines życia przedsiębiorstw i instytucji, utrwalając mimowolnie opinie deprecjonujące znaczenie wykształcenia ekonomicznego. Do chwili obecnej utrzymaliśmy takie branżowe kierunki studiów, jak ekonomika: budownictwa, handlu wewnętrznego i zagranicznego, pracy, przedsiębiorstwa, przemysłu, rolnictwa, transportu i gospodarki miejskiej, w ramach których następuje jeszcze bifurkacja na profile — matematyczny i organizacyjny. Wiadomo jednak, że kryterium

Dokończenie na str. 5

CZYBY świat wkroczył w cywilizację wypoczynku? — pytali Francuzi siebie samych i ponad cztery tysiące uczestników XI Światowego Kongresu Międzynarodowej Unii Architektów, który zakończył się 30 września w Warnie po tygodniowych obradach na temat „Architektura i wypoczynek”. Nadawcy tego pytania zdawali sobie sprawę, że ma on charakter prowokacyjny, ostatecznie świat to nie tylko grupa państw zamożnych, ale i kraje afrykańskie, azjatyckie i południowoamerykańskie, przedstawiciel Algierii dał do zrozumienia, że wytwarza się nowy typ zależności między bogatymi, którzy przemierzają świat w luksusowych autokarach „Intratouru”, rozsiewając po drodze dolary, określone modele życia i zawiść, a biednymi którzy usługują amatorom safari czy nudyzmu. Bez względu na wszystkie dysproporcje i towarzyszące im implikacje natury politycznej i moralnej, faktem jest, że coraz więcej ludzi dysponuje coraz większą ilością wolnego czasu, który trzeba jakoś wypełnić, jakoś spożytkować — najogólniej rzecz biorąc: wypocząć w sposób możliwie atrakcyjny. Stało się obowiązującym stylem życia, że przynajmniej raz w roku, podczas urlopu, należy pojechać daleko od miejsca zamieszkania, najlepiej za granicę.

W 1969 roku 150 milionów ludzi objało się po świecie w celach turystycznych, pozostawiając w odwiedzanych krajach 15 miliardów dolarów. W następnych dwóch latach liczba amatorów turystyki wzrosła wprost niewiarygodnie, przewyższając dziś łączną liczbę mieszkańców Francji, Holandii, Polski, NRF, Austrii, Szwajcarii i Belgii. Ci, którzy przyjmują tych gości, mają nadzieję wydusić z nich 20 miliardów dolarów. Turystyka stała się poważnym elementem świat-



Bulgaria. Słoneczny Brzeg. Fot. Z. Zugał

kiego pochodzenia, Georges Candilis, który wybudował sporo drogiej i nieco podobnych do siebie hoteli, jak mógł tak manifestować swoją prosojalistyczną i proradziecką orientację twierdząc, że tylko „u nich” powstają jakiejś sensowne koncepcje architektoniczne, mające daleką przyszłość. W pewnym momencie Candilis wyrecytował bez zająknięcia fragment prozy Erenburga, gloryfikujący architekta i jego rolę. Zapytany, co sądzi o współczesnym budownictwie Polski, konkretnie Krakowa, rozłożył jednak dłońmi gestem aż nadto wymownym, pełnym ubolewania, chwalać tylko... zabytki. Nie jestem przecież tak bardzo przekonany do Candilisa, bo coś mi traci łatwą kokieterią jego wyznaczenie na spotkaniu ze studentami wyższych szkół i wydziałów architektury, którzy dość licznie grupą zjechali do Warny z różnych stron świata, wyznaczenie tej treści: u mnie nie liczy się projekt, u mnie liczy się idea, pragnę pracować tylko z młodymi, bo starzy obrastając w piórka tracą odwagę i popadają w rutynę. Tak na oko Candilis liczy sobie dobrą sześćdziesiątkę, może jednak czuje się młody duchem i żyje w biedzie? Na błędnie nie wyglądał, dodatkowe informacje na ten temat można odnaleźć w jego biografii.

Jak wspominałem, architekci radzieccy mieli sporo okazji do satysfakcji. Jedną z nich wiąże się z wynikami tradycyjnego już konkursu na projekt autorstwa studenta wydziału architektury, odbywającego się pod patronatem UNESCO. Grand Prix tej organizacji przypadła w Warnie W. Kirpiczewowi z Moskiewskiego Instytutu Architektury, za projekt przestrzennej organizacji środowiska wypoczynkowego, zlokalizowanego w starym, być może zabytkowym rejonie Tallina.

mierzona i kontrolowana, coraz częściej wezrasowisko zamienia się w coś w rodzaju ogromnego Disneylandu dla dorosłych, ze wszystkimi obciążeniami takiej formy, opartej na nienaturalności i sztuczności zachowań zarówno ludzkich, jak i formy architektonicznej. Tam, gdzie rozwija się spontanicznie — widoczny jest ustawiczny wycięg prestiżu licznych inwestorów. Nie wydzielać funkcji wypoczynku — zakończył Nowicki — a tworzyć integralne całości środowiskowe, wyposażone w niezbędne elementy”.

Z dużym zainteresowaniem przyjęto również referat Romualda Wirszylły, a w przypadku wystąpienia dra Zygmunta Skórzyńskiego, socjologa, można mówić o rzeczywistym sukcesie, mimo fatalnych początków organizatorów, którzy skrócili wystąpienie autora do pięciu minut; nie było to jedyne uchybienie gospodarzy, to, co działo się czasami na Kongresie, nikomu zaszczytu nie przynosi. Skórzyński przedstawił widzenie problemu wypoczynku w sposób zbliżony z niejako oficjalnymi tezami naszej delegacji, mimo że występował z pozycji wołontariusza i nikt nie uzgadniał z nim ten referatu. Efektem jego wystąpienia była inwazja na tekst delegatów z krajów Ameryki Południowej, Belgów, Czechów oraz propozycje spotkań z autorem. Z podobnym, niezwykle uważnym i żywym, przyjęciem spotkały się wypowiedzi polskich architektów podczas obrad sekcji Kongresu: Jana Smogorzewskiego i Mieczysława Twarowskiego. Pogład Tadeusza Baruckiego — wypoczynek to forma regeneracji sił dla twórczego działania — zyskał z miejsca licznych zwolenników czyniąc postać

ARCHITEKTURA I WYPOCZYNEK

Ireneusz J. Kamiński

owych obrotów handlowych, sięgającym 8-10 proc., a wiele krajów zawdzięcza jej swój żywot ekonomiczny, taki np. Meksyk czerpie z niej 44 proc. swych wpływów dewizowych, Hiszpania — 41 proc., Austria — 23 proc.

Wspomniany Kongres UIA nieprzypadkowo odbywał się w bułgarskiej Warnie. Wśród krajów europejskich Bułgaria wyróżnia się wysoką dynamiką wzrostu ruchu turystycznego, który w latach 1960-1969 zwiększył się o ok. 1000 procent. Było to możliwe dzięki wzniesieniu licznych hoteli, urzędzaniu campingów i uporządkowaniu tras komunikacyjnych. Złote Piaski dysponują dziś niemal 17 tysiącami łóżek w hotelach i ok. 400 w campingach, Słoneczny Brzeg — ponad 21 tysiącami miejsc hotelowych i 318 w campingach. Kameralna „Rusalka” w Bałczuku posiada 960 łóżek hotelowych, a rozbuhaną architektonicznie „Albena” może przyjąć jednorazowo ok. 1000 osób. Rocznie Warnę i pobliskie miejscowości odwiedza półtora miliona ludzi. Obecnie Bułgarzy przystąpili do turystycznego zagospodarowania terenów na południe od Warny, które po zakończeniu prac będą dysponowały 100 tysiącami miejsc w hotelach i campingach.

Niektóre hotele oszalały swoją urodą i oryginalnością architektonicznego kształtu, obiekty „Albeny”, skomponowane z form trapezoidalnych, owalnych i trójkątnych, wytrzymują konkurencję z najbardziej efektownymi hotelami Europy; niektórzy polscy architekci młodszego pokolenia określali je jako efekciarskie.

Tematyka Kongresu obejmowała trzy grupy zagadnień: architektura i wypoczynek codzienny, tygodniowy, roczny. Prace toczyły się na posiedzeniach plenarnych i w grupach roboczych, omawiających m. in. zagadnienia miejsca pracy, budownictwa przemysłowego, projektowania szkół i uczelni, sportu i wypoczynku, (które sekretarzem był Romuald Wirszylły), ochrony zdrowia społecznego, budownictwa mieszkaniowego. Ten przykładowy rejestr omawianych zagadnień dowodzi, że kierując się hasłem „architektura i wypoczynek” potrącono niemal o wszystkie uwarunkowania ludzkiej egzystencji: materialne i ideowe, socjologiczne i psychologiczne. „Architektura stanowi ramy przestrzenne, w których rozwija się życie społeczne” — definiuje Jacek Nowicki, autor bodaj najciekawszego referatu, wygłoszonego podczas Kongresu.

Racjonalna organizacja wypoczynku to sprawa o niewątpliwą aktualność, której waga będzie wzrastała z roku na rok, komplikując się proporcjonalnie do znaczenia. W Polsce i innych krajach socjalistycznych przechodzimy stopniowo na pięciodniowy tydzień pracy. Wiosną ubiegłego roku związek zawodowy robotników przemysłu samochodowego USA, skupiający 1,5 miliona członków, rozpoczął rozmowy z firmą Chrysler na temat warunków i możliwości skrócenia tygodnia pracy do czterech dni. Autorytatywne pismo robotników handlu „Forba” uważa, że taki tydzień będzie skutecznym środkiem „walki z inflacją i bezrobociem”. Tymczasem jednak Amerykanie zwołują się jeszcze starym hasłem „Chwała Bogu, dziś piątek”.

Spora satysfakcją Kongres dostarczył architektom radzieckim. Kilka dni przed jego otwarciem Georgij Michajłowicz Orłow został wybrany nowym prezydentem Międzynarodowej Unii Architektów, a warneńskie ob-

rady w Pałacu Kultury i Sportu dowiodły, że gospodarka planowa, programowana przez instytucje państwowe, coraz bardziej pociąga kraje zachodnie, choć ich struktura ustrojowa niezbyt jej sprzyja. Efekty tej gospodarki, przedstawione przez architektów radzieckich w referacie i przy pomocy przeźroczki, były zresztą najlepszą jej propagandą.

W latach 1966-1970 w uzdrowiskach związkowych przebywało 67 milionów osób, a ponad 40 milionów dzieci spędziło wakacje w obozach pionierskich. W obecnej pięcioletniej łączna liczba wezrasowiczów zbliżyła się do 150 milionów. Statystyka ta nie obejmuje milionów ludzi wypoczywających w podmiejskich strefach i turystów podróżujących po kraju i za granicą. Decyzje XXIV Zjazdu KPZR kładą wielki nacisk na dalszy rozwój bazy uzdrowiskowej i turystycznej, przeznaczając na ten cel ponad 2 miliardy rubli, co umożliwi roczny przyrost 50-70 tysięcy miejsc w sanatoriach, domach wezrasowych, hotelach i campingach.

Te liczby w istocie niewiele mówią o walorach planowej gospodarki, ilustrując przede wszystkim skalę wypoczynku w Związku Radzieckim, jego masowy charakter. Zalety planowania ujawniają się natomiast wyraźnie w momencie spojrzenia na geografie stref wypoczynku. Przy podejmowaniu decyzji o budowie czy dalszym rozwoju ośrodków wezrasowych, uzdrowiskowych i turystycznych, architekci radzieccy uwzględniają z jednej strony rozmieszczenie sił produkcyjnych i dużych skupisk ludzkich, z drugiej — istniejące warunki przyrodniczo-klimatyczne, pejzażowe oraz zabytki historii i kultury.

W zakończeniu referatu sekcji radzieckiej UIA znalazło się kapitalne stwierdzenie, z zainteresowaniem przyjęte przez uczestników Kongresu, które przytaczam w wolnym przekładzie:

— Wielka skala, dynamiczne procesy i wielość pytań, charakteryzujące wzajemne związki architektury i wypoczynku, wspólność zadań i ich rozwiązań dla wielu państw świata — dyktują konieczność koordynacji wysiłków nie tylko w ramach kraju, ale i w skali międzynarodowej. W związku z tym celowe byłoby zorganizowanie przez UIA w najbliższym czasie specjalnego sympozjum na temat: Prognozy rozwoju architektury kompleksów masowego wypoczynku w warunkach jakościowej ewolucji czasu wolnego.

Kto wie, czy to hasło nie znajdzie szczególnie żywego oddźwięku w USA. Problem wolnego czasu wiąże się w Ameryce już nie tylko z koniecznością wypełnienia go czymś mniej lub bardziej określonym, ale rysuje się coraz ostrzej jako czynnik zmiany rytmu i sposobu życia, na wzór zaledwie przeczuwany. Poza tym Amerykanie zabrali się na serio do planowania wypoczynku, czym m.in. zajmuje się „Biuro wypoczynku na świeżym powietrzu”. Planowanie nie ogranicza się tylko do poszczególnych stanów, lecz ma zakres federalny. Wydaje się przy tym, że różnice warunków społecznych i ekonomicznych, w jakich rozwija się wypoczynek na Zachodzie, nie są aż tak wielką przeszkodą w nawiązaniu międzynarodowego współdziałania na rzecz organizacji czasu wolnego, aby je całkiem uniemożliwić. Zresztą Wschód, szczególnie zaś nasze rozwiązania problemów społecznych, jest modnym dziś wspornikiem wszelkich dyskusji na temat „co dalej z ludzkością”. Ujawniło to się również na Kongresie. Znany architekt francuski

W kwestii podstawowej, zamkniętej w ramach tematu „architektura i wypoczynek”, Kongres nie przyniósł żadnych nowych idei, referenci i dyskusjanci prezentowali dość konwencjonalne spojrzenie na zagadnienie wypoczynku, oddzielając go od strefy życia codziennego, od pracy. Jedynie Polacy odstąpili od tej dwuznacznej moralnie zasady, odnosząc sukces profesjonalny i propagandowy, którego nie sposób przecenić.

W swym referacie Jacek Nowicki zaprotestował przeciwko podziałowi ludzkiego bytowania na ostro oddzielone od siebie strefy: gorszą, związaną z codziennością, a więc i pracą, oraz lepszą, utożsamianą z czasem wolnym — wypoczynkiem. Ten podział dziś istnieje, a jego konsekwencje spotykamy na co dzień: standardowe, monotonne, po prostu brzydkie i dalekie od zaspokożenia psychofizycznych potrzeb człowieka osiedla mieszkaniowe w miastach, z jednej strony, i efektowne „monokultury wypoczynku”, takie np. jak „Albena” czy nasz Jaszwiec. Nowicki jest zdania, że należy dążyć do „integracji całości ludzkich działań i tym samym integracji całości, a nie tylko fragmentów środowiska przestrzennego, w którym żyje człowiek”. Tym samym Nowicki przywraca architektowi właściwą mu rangę i rolę twórcy „formowania ram przestrzennych dla życia społeczeństwa”. Na Kongresie w Warnie głos polskiego architekta był właściwie odosobniony, więcej mówiono o organizacji wypoczynku, o zagadnieniach społecznych i ekonomicznych, chwalono się osiągnięciami, a przeciw był to Kongres architektów.

Nowicki przedstawił swoją interpretację problemu wypoczynku codziennego, związanego z mieszkaniem i osiedlem mieszkaniowym, cotygodniowego, weekendowego — w tym miejscu kpiąc nieco z radości, które przynoszą sobotnie czy piątkowe inwazje na ośrodki wypoczynkowe i proponując jednocześnie stworzenie odpowiednich warunków wypoczynku w samym mieście, na koniec zaś krótko scharakteryzował wypoczynek coroczny, a więc nasze kochane wakacje. Warto przytoczyć dwa zdania tej charakterystyki, bo nie bardziej trafnego: „Tam, gdzie jego (środowiska przestrzennego) forma jest za-

autora popularną także w kularach Kongresu.

Polska obecność w Warnie przejawiała się ponadto aktywnością organizacyjną i licznymi inicjatywami. Wiadomo, że UIA przechodzi od dłuższego czasu kryzys, po omacku szukając mocniejszego zaczepienia w rzeczywistości. Jedno z nich, zaakceptowane podczas posiedzenia nowej Rady UIA, zaproponował prezes SARP, Henryk Buszko. Jego istota: Unia powinna skoncentrować się na pomocy dla krajów Trzeciego Świata. O tym, że postulat ten nie miał charakteru tylko werbalnego, może świadczyć fakt poparcia kandydatury Algierii jako miejsca kongresu w 1978 roku, przy równoczesnym wycofaniu identycznej propozycji ze strony Polski. Nasza sugestia, aby kongres ten wiązał się z problemem „stosunku współczesności i przyszłości do przeszłości” zyskała ogólne uznanie, szczególnie żywo demonstrowane przez delegatów krajów opóźnionych w rozwoju cywilizacyjnym, których świętym dorobek starej kultury jest niszczonej przez ekspansywny kapitał zachodni. Właśnie delegacja turecka — średnia wieku 32 lata — zaapelowała do Kongresu o pomoc w tej kwestii, przytaczając fatalne skutki inwazji koncernów przemysłowych na tereny o charakterze zabytkowym.

Z polskiej inicjatywy odbyło się też spotkanie studentów — uczestników Kongresu z prezydentem UIA Orłowem oraz dyskusja z jurorami konkursu studenckiego. Było nas w Warnie niemal 300, z czego jedynie ok. 150 odnotowano w oficjalnym spisie delegatów i gości Kongresu. Złożyliśmy kwiaty pod pomnikiem Władysława Warneńczyka — w asyście przedstawicieli władz bułgarskich, pokazaliśmy problemową wystawę, ideowo związaną z tematyką Kongresu, która tak różniła się od pozostałych, będących katalogami efektownych realizacji, jak tezy naszych referatów od widzenia kwestii wypoczynku przez architektów z innych krajów. Bez słowa przesady: tym razem wyprawa do Warny zakończyła się sukcesem Polaków.



Bulgaria. Albena. Fot. Z. Zugał



Bogdan Grabowski

Romuald Jankowski

Marian Matera

Edward Mordoń

Edward Opaliński

Nina Stelmach

Władysław Tarnowski

Stanisław Tutka

Foti M. Turgoński

O czym chcą mówić nasi delegaci na Kongres ZZ

EDWARD MORDOŃ

Woj. Inspektor Pracy

Dokończenie ze str. 1

bo to nieraz prowadzi do fikcji. Współzawodnictwo musi rodzić się samo i to w zakładach pracy, pomiędzy zakładami w branżach, konkretne, porównywalne, gdzie chodzi o wyniki a nie hasła. Trzeba też częściej satysfakcjonować ludzi dobrej roboty, jak to próbowaliśmy robić niedawno podczas pierwszego festynu robotniczego „Ludziom dobrej roboty”.

MARIAN MATERA

Zw. Zawodowy Pracowników Budownictwa i Materiałów Budowlanych

Nas w cementowniach cementowych najbardziej niepokoi zapalenie pomieszczeń produkcyjnych, nieraz kilkakrotnie przekraczające normę. I nie możemy zrozumieć, że fabryka elektrodzielników w Pszczynie dała nam tak złe wyroby, że nie można ich uruchomić, bo grozi wybuchem. Czy nikt za to nie odpowiada?

Założa na zebraniach porusza wiele bolączek jeszcze istniejących, zdając sobie sprawę, że nie wszystko można zaraz naprawić. Ale trzeba o tych sprawach mówić, aby nie zaginęły.

Z trzech autokarów dwa rozjechały się, a wycieczki sobotnio-niedzielne bardzo się u nas przyjęły. Ponieważ musimy dowozić uczniów do szkoły oraz pracowników ze wsi, powstaje pytanie — czym to robić? Niektóre urządzenia są źle zaprojektowane przez nasze resortowe biuro w Krakowie, co powoduje niepotrzebne wypadki. Dlatego projektanci żyją tak daleko od zakładów pracy, dla których pracują? Odzież i obuwie ochronne wciąż są symbolem złej jakości. Dlaczego nie można dostać niektórych części, np. zawieszek do lin stalowych?

EDWARD OPALIŃSKI

Zw. Zaw. Metalowców

Zatrudnienie w lubelskiej FSC jest dziś dwukrotnie większe niż przewidywano w czasie jej budowy, a w dodatku okresami obciążano nakłady na warunki socjalno-bytowe. Stąd mamy tylko jeden ośrodek wczasowy (w Firleju).

Korzysta z niego 2 tys. osób rocznie, ale to wciąż mało. Więc urządzamy w Rabce ośrodek wczasowo-sanatoryjny, razem z puławską Azotami chcemy budować drugi w Kazimierzu, trzeci z kim innym w Kolibrzegu. Zakupujemy też wczasowiska sanatoryjne i dopłacamy z funduszu zakładowego, aby pracownicy mogli je otrzymać po niższej cenie. Dlaczego jednak zjednoczenie dopłaca do wczasów w naszym ośrodku, a nie chce do tych wykupionych gdzie indziej?

Sprawa normalnych rent i emerytur jest już pozytywnie załatwiona. Trudnym problemem jest zatrudnienie ludzi, którzy po kilkunastu latach wyłączonej pracy wskutek zmechanizacji fizycznego lub psychicznego mają zmniejszoną wydajność. Przesunięcie ich do tzw. lżejszej pracy powoduje obniżenie zarobków. Może da się to naprawić uruchamianiem wydziałów pracy chronionej, zajmujących się np. produkcją uboczną, gdzie rachunek kosztów należałoby sporządzić inaczej niż normalnie? Założa sądzi też, że należy wprowadzić jakiś gradację w rentach inwalidzkich. Tzw. grupa to jedno, a liczba przepracowanych lat to drugie kryterium, bo np. przy jednakowym orzeczeniu lekarskim o inwalidztwie 5 lat przepracowanych to nie to samo co 20 lat czy nawet więcej.

Trzeba wreszcie jasno uregulować przepisy o uczących się pracowników. W obowiązujących można często przeczytać, że taki pracownik może otrzymać jakieś ułatwienie, co wielu kierowników interpretuje, że nie musi. Podobnie ze sformulowaniem: „należy się urlop do 14 dni”, 2 czy 3 dni to też „do”. Podnoszenie kwalifikacji nie może zależeć od widzimisię kierownika.

NINA STELMACH

Zw. Zaw. Pracowników Spółdzielczości Pracy

Jesteśmy najmłodszym związkiem zawodowym, w województwie połowa zatrudnionych to ko-

biety, w moim zakładzie pracy aż 90 proc. Z radością powitalyśmy szereg decyzji rządowych, uwzględniających potrzeby kobiet pracujących, np. przedłużenie urlopów macierzyńskich.

Nasz związek obejmuje 22 branże produkcyjne, stąd problemów u nas co niemiara. Jeżeli otrzymam głos na Kongresie, postawię dwie zasadnicze sprawy: 1) jeszcze większej pomocy dla młodzieży w utrzymaniu i zagospodarowaniu mieszkań, 2) uregulowania istniejących jeszcze nieprawidłowości placowych. Dołączę też swój głos „za” we wszystkich propozycjach, zmierzających do dalszego ułatwienia życia pracującym kobietom — od zaopatrzenia po usługi.

Spółdzielczość pracy dla wielu ludzi oznacza automatycznie walce się barak. Nie jest to już reguła, mamy wiele nowoczesnych zakładów z dobrymi warunkami socjalno-bytowymi. Trzeba jednak tak działać, aby to stało się powszechne. W województwie mamy 33 tys. zatrudnionych w spółdzielczości pracy, a własne ośrodki wczasowe mogą przyjąć rocznie zaledwie 1570. Tu więc czeka nas jeszcze wiele roboty. Na skierowania do sanatoriów czeka się nieraz i pół roku, a własnego jeszcze nie mamy.

WŁADYSŁAW TARNOWSKI

Zw. Zaw. Pracowników Leśnych i Przemysłu Drzewnego

Tradycyjnie dorywcza praca w lesie dzięki mechanizacji staje się już produkcją przemysłową. Ludzie pracują na wolnym powietrzu w różnych warunkach klimatycznych i w oddaleniu od mieszkań, stąd duża ilość chorób reumatycznych i przewodu pokarmowego. Pojawia się też nowa, która nazywamy chorobą wibracyjną — występuje już po pięciu latach pracy z piłą mechaniczną. Stąd wniosek: objęcie tych ludzi opieką przez przemysłową służbę zdrowia. I drugi: aby konstruktorzy pił ulepszyli je,

zmniejszając siłę drgań, bo chcemy nie tylko leczyć, ale przede wszystkim zapobiegać.

Przelamaliśmy wreszcie długoletnią tradycję, że osady leśne trzeba budować głęboko w lesie. W ten sposób i leśników i ich rodziny odcinaliśmy od szkół, lekarzy, ośrodków kulturalnych. Nowe budujemy więc już koło większych skupisk ludzkich.

W tartakach w zasadzie praca jest oparta na wysiłku mięśni. Prawie wcale nie działa tam służba zdrowia. Jako związkowcy będziemy aż do skutku działać, aby te warunki uległy zmianie.

Myślę, że przedmiotem gorących dyskusji na Kongresie stanie się sprawa struktury związkowej. My opowiadamy się za słuszną chyba zasadą, że podstawowym ogniwem działania związkowego powinny być rady zakładowe, których autorytet wzrosnie, ale które równocześnie same będą musiały podejmować wiele ważnych decyzji. I kadencja wszystkich instancji związkowych powinna być jednakowo długa.

STANISŁAW TUTKA

Zw. Zaw. Prac. Przemysłu Spożywczego

Pracuję w Lubelskich Zakładach Przemysłu Piekarniczego. Zarówno piekarnie jak i ciastkarnie to obiekty przestarzałe — dotyczy to i lokali i urządzeń. A w ogóle jest ich zbyt mało. Przeważnie pracują u nas młode kobiety, które to zatrudnienie traktują jako coś przejściowego. Stąd ciągle u nas goni się czas, chleb jest niedopieczony, wyroby niedopracowane. Brak urządzeń socjalno-bytowych, wypoczynku po pracy wcale się nie organizuje, a kilkanaście domów kempingowych czynnych latem to kropla w morzu potrzeb.

Osobiście będę postulował szybkie doinwestowanie naszej branży, aby mogła pokryć wciąż wzrastające zapotrzebowanie, w połączeniu z poprawą warunków socjalno-bytowych.

Mimo wzrastających, jak już mówił przewodniczący WKZZ, nakładów na bto oraz poważnej poprawy warunków socjalno-bytowych, w pierwszym półroczu bieżącego roku było więcej wypadków niż w pierwszym półroczu ub. roku, absencja chorobowa zwiększyła się o 22,7 proc. W przeliczeniu wypadka tak, że na 1000 zatrudnionych w ub. roku nie pracowało stale 164, w bieżącym 219.

Razem wzięwszy to wielki problem ekonomiczny i społeczny. Najczęściej wypadkom ulegały ludzie młodzi w wieku 30—35 lat, a więc najbardziej produktywni.

Jakie widzę przyczyny tego stanu? Przede wszystkim wadliwa organizacja pracy w wielu zakładach, następnie zła dyscyplina pracy szeroko pojęta, wreszcie brak właściwego, konsekwentnego nadzoru w fabrykach, zwłaszcza nadzoru średniego. Dlaczego, gdy ktoś ukradnie 100 zł, robi się wielki szum, a gdy brak osłony przy maszynie, to tego nie widzi się? W programach poprawy warunków socjalno-bytowych wprowadza się szatnie, natryski, stołówki — bo tym łatwo się chwalić. Rzadko kiedy jest plan poprawy bezpieczeństwa pracy. Gdy wypadek nie jest śmiertelny, komisje powypadkowe najczęściej nie szukają jego przyczyn.

Podstawową bronią w walce z wypadkami powinna być społeczna inspekcja pracy, najlepiej znająca zakład. Ale nie można jej utrudniać działalności. W jednej ze spółdzielni pracy zwolniono w czasie kadencji społeczny inspektora, bo stał się niewygodny dla kierownictwa.

W roku ubiegłym uchwałą CRZZ zlikwidowano w województwach koordynację branżową w inspekcji pracy. No cóż, nie wszyscy inspektorzy są aniołami gdy mają zwierzchnictwo w dalekiej Warszawie. Myślę, że ten błąd trzeba będzie naprawić.

PROREKTOR UMCS, doc. dr Albin Koprucki jest jednym z tych lubelskich pracowników nauki, którzy posiadają największe doświadczenia kontaktów i współpracy z ośrodkami naukowymi Związku Radzieckiego. Sam docent z sąsiedziami wschodnimi na tym terenie zetknął się szerzej w latach 1968 i 1971, kiedy to odbywał swój staż naukowy w Moskwie i Leningradzie. Zbiierał wówczas materiały do pracy z zakresu dziejów Lubelszczyzny.

Pobyt moskiewski zaznaczył się specjalnie kontaktem z gorącym przyjaciele i znawcą dziejów Polski, kierownikiem Katedry Południowych i Wschodnich Słowian na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Moskiewskiego, doc. dr Iwanem Woronkowie. Doc. Woronkowie był częstym gościem Polski, jak również UMCS. Między lubelskimi i moskiewskimi pracownikami znajdowały się nie tylko wspólne zainteresowania profesjonalne, ale również osobista przyjaźń. Kto wie, jakim często przypadkiem zawdzięczać należy natrafienie na interesujące źródła historyczne, ten zdaje sobie sprawę z roli, jaką w badaniach naukowych spełniają nieoficjalne kontakty między uczonymi.

Drugą osobą w naukowych spotkaniach moskiewskich doc. Kopruckiego była prof. dr nauk Irina Bielewska, specjalista z zakresu historii Polski, trzecią — prof. dr Iwan Kościuszko z Instytutu Słowiańszczyzny i Bałkanistyki, redaktor piśmiennictwa „Radzieckie słow-

wianoznawstwo”. Prof. Kościuszko jako autor pracy „Reforma uwłaszczeniowa w Królestwie Polskim” wiele uwagi poświęcił Lubelszczyźnie, był również w naszym województwie, gdzie przeprowadził badania archiwalne. Doc. Koprucki umieścił szereg swych prac w „Radzieckim słowiańszczyźnie”, za co w „rewanżu” tom „Rocznika lubelskiego” otrzymał teksty historyka moskiewskiego.

Naukowe kontakty Lublin-Moskwa nie ograniczają się jednak do wymiany doświadczeń pomiędzy poszczególnymi pracownikami, ale obejmują również szereg innych dziedzin, jak np. wymiana dzieł, publikacji czasopiśmienniczych itp. Specjalnym rozdziałem kilkunastoletniej już tradycji współdziałania naszego miasta z ośrodkami Związku Radzieckiego jest praktyka współpracy UMCS z Uniwersytetem im. Iwana Franki w Lwowie. Została ona zadziwiająco drogą umowy zawartej w r. 1936 i przyniosła szereg cennych rezultatów. Jednym z nich jest wspólna edycja tomu „Idee Lenina — źródło przyjaźni narodów” wydanego w dwu wersjach językowych (polskiej i ukraińskiej) z okazji setnej rocznicy uro-

dzin wielkiego wodza proletariatu. Redaktorem tomu ze strony polskiej był doc. Koprucki. Inicjatywa okazała się na tyle pomyslna i przydatna, że obecnie w ostatnim już stadium przygotowań znajduje się nowa publikacja mająca zobrazować rewolucyjną tradycję współpracy Polaków i Ukraińców w latach 1917—1938.

W ramach tych kontaktów doszło również do bliższych osobistych zna-

poznaniami Lubelszczyzny ze strony lwowskich sąsiadów.

Trzecim ośrodkiem naukowym, z którym Lublin utrzymuje łączność, jest uniwersytet w armeńskim Erywaniu. Pierwszy kontakt nawiązany został przez kierownika Zakładu Historii Związku Radzieckiego i Krajów Demokracji Ludowej doc. dr Mirosławę Zakrzewską-Dubasową, a w konsekwencji przyniósł umowę o stałej współpracy nauko-

dziesięcioosobowa grupa lubelska odbyła podobną praktykę w Armenii. Kontakty z Erywanem są dla Lubelszczyzny interesujące również przez to, że w historii Zamościa znajdujemy liczną kolonię Ormian, która odegrała niepoślednią rolę w formowaniu się społecznych i gospodarczych stosunków tego miasta. Doc. dr Zakrzewska-Dubasowa opracowuje historię Armenii pomyślaną nie tylko jako pomoc dla studentów, ale również jako dzieło popularnonaukowe przystosowane do szerszego odbioru.

Warto zwrócić uwagę na znaczenie, jakie przywiązuje uniwersytet erywański do ormiańskiej emigracji. Otworzone tam specjalny wydział przygotowawczy, na którym studium Ormianie z całego świata: Francji, Anglii, Kanady i in.

Zasób doświadczeń odniesionych w trakcie odwiedzin radzieckich ośrodków naukowych doc. dr Koprucki uformował sobie z wielką spostrzeżeń i obserwacji. Między innymi podziw jego wzbudził specjalny aparat „Sigma” zainstalowany na uniwersytecie lwowskim, a promienny do automatycznego zarządzania stosowaniu metod cybernetycznych w przeprowadzaniu czynności z zakresu organizacji pracy. Autorem jego jest rektor Mykoła Makarmowicz — fizyk.

Kontakty naukowców lubelskich z ich wschodnimi kolegami i przyjaciółmi mają duże znaczenie dzisiaj, a nabiorą go jeszcze więcej w przyszłości. Jest to jeszcze jeden element sprzyjający rozwojowi naszego uniwersyteckiego ośrodka.

Z. M.

Przyjaźń nad kartami historii

PODOBNO CO trzydziesty człowiek na świecie przynajmniej raz w życiu zadaje sobie pytanie — być albo nie być? Hamietowski dylemat. Ale oczywiście — choć wszelkie statystyki bywają tutaj raczej zawodne, a w każdym razie niepełne — nie każdy odpowiada na to pytanie w sposób negatywny — nie być! — czyli podejmuje decyzję samobójstwa. Zjawisko posiada, rzecz jasna, swe uwarunkowania historyczne i kulturowe. W Indiach panował zwyczaj, iż żona odbierała sobie życie po śmierci męża, u Gallów — służa po śmierci pana, u Celtów — zaś mieli obowiązek popelnienia samobójstwa ludzie starzy, niezdatni do wypełniania wszystkich funkcji życiowych.

W dalszym świecie liczba samobójstw nie maleje, aczkolwiek także uzależniona jest od wielu czynników, a geografia zjawiska rozkłada się w sposób niejednorodny. Gdyby porównać liczbę prób samobójczych, które zakończyły się śmiercią, to najniższy wskaźnik mają takie kraje jak Hiszpania, Irlandia, Włochy (2-6 na 100 tys. mieszkańców), Polska, obok Francji, Anglii i USA, sytuuje się w grupie średniej (wskaźnik: 10-15). Przewyższają nas w tej smutnej statystyce m. in. NRF, Austria, Szwajcaria i Finlandia (wskaźniki: 20-25). Już na podstawie tego wrywkowego zestawienia można by snuć rozmaite refleksje natury ogólnocywilizacyjnej, chociaż statystyki są tutaj nie zawsze w pełni instryktuwalne. Istnieje pewna „liczba ciemna”, dotycząca tzw. samobójstw maskowanych. W USA na przykład szczególnie „modne” są samobójstwa za kierownicą — ludzie rozbijają samochody i tracą życie, pozorując wypadek drogowy. Podobnie maskowanym samobójstwem był „wypadek z bronią” Hemingway'a — pisarz dowiedział się od lekarza, że ma raka oskrzeli (lekarze amerykańscy nawet w najcięższych przypadkach nie tają przed pacjentem rzeczywistego stanu jego zdrowia).

Zbiorcze statystyki mają i tę wadę, iż nie rejestrują całej złożoności i różnorodności zjawiska. Fachowcy wyróżniają przynajmniej cztery ty-

py samobójstw, co zresztą, zdaje się, i tak nie wyczerpuje wszystkich wariantów. A więc przypadki ludzi chorych psychicznie (głównie depresja endogenna, tj. mająca źródła w wewnętrznych anomaliach struktury psychicznej człowieka, aczkolwiek ostatnio coraz częściej mówi się tutaj o schizofrenii oraz o depresji alkoholowej jako czysto psychiatrycznym podłożu samobójstwa). Ta grupa stanowi około 10-20 proc. liczby prób samobójczych. Dalej samobójstwa typu „młodego Wertera”, przypadki bodaj najtragiczniejsze, bo dotyczące ludzi przeważnie w wieku 15-17 lat. Następnie samobójstwa bohaterkie, popelniane w okolicznościach szczególnych, czasem też w szczególny sposób. Lista przykładów sięga bodaj biblijnego Samsona aż do szlachetnych postaci Korczaka czy ks. Kolbego. Do tej grupy trzeba także zaliczyć samobójstwa polskich oficerów popelniane w obliczu klęski wrześniowej i samobójstwa żołnierzy konspiracji, uwięzionych przez okupanta i bojących się, że nie wytrzymają tortur i zdradzą swych towarzyszy. I wreszcie grupa przypadków ludzi starych bądź nieuleczalnie chorych, jak choćby właśnie Hemingway czy — ostatnio — Montherlant.

Poza tym zestawieniem istnieje przecież bodaj czy nie najliczniejsza, grupa przypadków, w której podłoże decyzji rezygnacyjnych ma jeszcze inny charakter: konflikty rodzinne, trudności szkolne lub w pracy, samotność (niekiedy ludzi starych), nerwice, zaburzenia osobowości... Jest powiedzenie: Nobody is perfect. Jest też pogląd, że wobec rosnącej cywilizacji industrialno-urbanizacyjnej coraz rzadziej można spotkać człowieka całkiem normalnego, tj. zdrowego psychicznie. Z drugiej strony powiada się, iż każde samobójstwo to czyn z zakresu patologii osobowej, podlegający kompetencjom psychiatry. Ten ostatni pogląd, może i — po części — przynajmniej — słuszny, nie wydaje się jednak wystarczający. Nie zapominajmy też o tym, co powiedział wybitny współczesny psychiatra, Viktor Frankl: *Jeśli o mnie chodzi, nie należę do tych ludzi, którzy przekonani są o wszechwładzy psychiatry. My,*

psychiatry, do dziś nie wiemy nawet tego, czym jest naprawdę taka choroba jak schizofrenia. Psychiatry nie są wszechwładzą — a tym bardziej wszechmocni. Tak naprawdę to są oni jedynie — jak się wydaje — wszechobecni: można ich spotkać na wszystkich kongresach, i sądzę, że mogą zabierać głos na każdym temat.

W ogóle rola i możliwości lekarza, a więc i psychiatry, wobec samobójcy i całego tego problemu nie jawią się tak jasno, jak można by z pozo-

ru sądzić. Po części może i dlatego, iż sytuacja prawna jest na tym odcinku nie całkiem jasna. W tej chwili na całym świecie samobójstwo nie jest ścigane prawem. Następuje też w Europie eliminacja postaw traktujących samobójstwo jako występ przeciw religii czy obyczajom. Kwestia, jak to się ma do częstotliwości samobójstw? W USA i NRF przyjmuje się zasadę że jeśli człowiek, który targnął się na swoje życie, świadomie nie chce ratunku, to lekarz nie ma obowiązku, a nawet prawnej możliwości, leczenia pacjenta, tym bardziej, gdy temu ostatniemu grozi po wyleczeniu kalectwo. Podobno w jednym z kantonów szwajcarskich lekarze mają prawo zostawić nieuleczalnie choremu truciznę i opuścić pokój, tolerując tym samym możliwość targnięcia się pacjenta na własne życie.

W naszym kraju, choć nie istnieje ściśle orzecznictwo na ten temat, praktyka prawna zobowiązuje lekarza do ratowania samobójcy w każdej sytuacji i nawet wbrew jego woli, a więc ludzie podejmujących decyzje rezygnacyjne traktuje się jako

jednostki w pewnym sensie chore, o zmniejszonej zdolności kierowania swoim postępowaniem, sam postępek samobójczy nie jest karalny — zgodnie z ogólną zasadą, iż człowiek ma prawo decydować o swoim zdrowiu i życiu (wyjąwszy przypadki przymusu leczenia chorób społecznych).

I myślę, że takie rozwiązanie — w myśl kanonu „złotego środka” — jest najbliższe optymalnemu, choć i wśród polskich prawników pojawia-

potrzeby podstawowej, to jest woli sensu.

Jeśli nawet to ostatnie stwierdzenie w naszych warunkach społeczno-ustrojowych nie całkiem przystaje do rzeczywistości, to i tak problem samobójstwa jawi się przede wszystkim jako kwestia społeczna. Złamanie psychiczne powstałe na tle rozrastającej się cywilizacji miejskiej trzeba leczyć, ale głównie należy usunąć społeczne przyczyny zjawiska. I stoimy jeszcze w naszym

WOŁANIE

kraju przed problemem zbudowania systemu swego rodzaju inżynierii społecznej.

Wyjąwszy samobójstwa bohaterkie, będące formą ofiarowania życia własnego w imię życia innych, świadomym aktem heroizmu, wszystkie inne formy samobójstw wiążą się z kwestią potrzeby owej inżynierii społecznej. Nawet w przypadku pacjenta-samobójcy, wyleczonego psychiatrycznie z depresji endogennej, powstaje przecież sprawa adaptacji do środowiska, kiedy on już opuścił mury szpitala. Bezradni możemy być tylko wobec ludzi nieuleczalnie chorych, którzy z pełną świadomością decydują się na odebranie sobie życia.

Zaden człowiek nie potrafi zrozumieć drugiego człowieka i nikt nie jest w stanie zbudować cudzego szczęścia. Jeśli tych słów nie objąłem cudzym słowem, to dlatego, że nie pamiętam dokładnie cytatu. Napisał to pisarz katolicki, Graham Greene, Anglik, człowiek współczesny. Filozofia rozpaczki. Sam w swojej nocy. Są to bardzo powszechne treści kul-

Czym jest marzenie senne?



Adam Majczak

CZŁOWIEK ma jakby dwa życia: w ciągu dnia znajduje się w stanie czuwania, kieruje swymi myślami i swoim zachowaniem, myśli i zastanawia się, podejmuje decyzje, przeżywa chwile szczęścia i chwile rozpaczki; w ciągu nocy zapada w osobliwy stan braku czuwania, wyłączenia świadomości, odcina się od świata zewnętrznego, jest unieruchomiony i bezradny. Stan czuwania i snu pulsuje niustannym rytmem przez całe życie człowieka. Poddajemy się temu stanowi, który jest równo pracującym biologicznym zegarem.

Człowiek żyjący 70 lat spędza w stanie snu około 20 lat życia — a zatem żyje naprawdę w stanie czuwania i pełnej świadomości tylko 50 lat.

O człowieku znajdującym się w stanie czuwania wiemy dużo, możemy obserwować jego zachowanie, badać przebiegi procesów myślowych, pamięć, wzruszenia, umiejętność rozwiązywania problemowych zadań itp.

Co wiemy o pracy mózgu w czasie snu? Czy w czasie snu zachodzą procesy psychiczne?

Sen od wieków był zagadką. Ludzie pierwotni traktowali początko-

stosowywania się człowieka do naturalnego środowiska. Średni przeciętny czas snu człowieka wynosi około 8 godzin.

Dokonywano próby zmiany tego rytmu, poddając eksperymentowi dwie grupy naukowców, pracujących na dalekiej północy w czasie polarnego lata, podczas którego przez całą dobę jest dzień. Obie grupy otrzymały specjalnie skonstruowane zegarki. Zegarki jednej grupy wskazywały faktycznie rytm 21-godzinny, a drugiej 27-godzinny. Obie te grupy kontaktowały się wzajemnie. Ludzie obu grup czuwal i spali według utrwalonych wzorców — fałszywe zegarki wyznaczały im czas. Jednakże ich „wewnętrzne” zegary nie dostosowały się tak łatwo do nowej sytuacji. Temperatura ciała, która ulega wahaniom dobowym od 36,1°C rano do 37,1°C w po południe, dostosowała się do nowego rytmu po upływie tygodnia, a wydalanie potasu w moczu i niektórych hormonów nastąpiło dopiero po upływie 6 tygodni. Dobowy rytm ma tak silne uwarunkowania biologiczne, że próba jego przełamania może mieć tragiczne następstwa dla człowieka.

W czasie inkwizycji do najbardziej wyrafinowanych tortur należała „tortura insomni” — wymuszanie czuwania. Ludzi podejrzanych o czary — a byli to najczęściej chorzy psychicznie — zmuszano do czuwania, pozbawiano snu, co powodowało burzliwe nasilenie objawów chorobowych, agresywność, pobudzenie, a w końcu śmierć.

Współcześnie przeprowadzano — nieetyczne zresztą i potępiane przez naukowców — eksperymenty na chorych schizofrenikach, pozbawiając ich snu na czas 100 godzin. W miarę upływu tego czasu zrywały oni wykazywać ostre objawy choroby psychicznej, a szczególnie halucynacje słuchowe, które przed eksperymentem nie występowały.

W 1959 roku nowojorski spiker Peter Tripp poddał się dobrowolnie eksperymentowi bezsenności i prowadził przez 200 godzin, a więc przez przeszło 8 dni, audycję słowno-muzyczną. Audycja przerywana była na czas posiłków i zabiegów toaletowych. W czasie eksperymentu przebywał pod stałą opieką lekarzy i pielęgniarek. Już po dwóch dniach spostrzegano w czasie zmiany obuwia — przejrzyste w półbutach, a palniki na obrusie wydawały mu się robakami. Po 100 godzinach Tripp przeszedł punkt krytyczny. Próby wymagające uwagi lub minimalnej bystrości umysłu stały się nie do zniesienia. W 118 godzinie pojawiły się bogate halucynacje wzrokowe: ubranie lekarza było zrobione z włochatych robaków, z ust pielęgniarki kapłała ślina, a w otworzonej szufladzie biurka palił się ogień. W 130 godzinie tracił chwila orientację, nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje i kim jest.

Po skończonym eksperymencie zapadł w nieprzerwany 13-godzinny sen, po którym obudził się zdrowym człowiekiem, chociaż lekkie obniżenie nastroju utrzymywało się jeszcze przez trzy miesiące.

Inny spiker podejmujący podobną próbę, a wykazujący objawy niestabilności psychicznej, po 7 dniach czuwania został skierowany do szpitala psychiatrycznego w celu leczenia.

Szwajcarscy badacze Monnier i Hosli pobierali krew z mózgu śpiących zwierząt, poddawali ją procesowi dializy i tak przygotowany płyn wstrzykiwali domózgowo w pełni rozbudzonym zwierzętom. Po tym zabiegu zwierzęta natychmiast zasypiały. Wynika z tego, że we krwi śpiącego mózgu znajdują się substancje chemiczne o działaniu nasennym. Niestety, jak do tej pory substancji tych nie dano się zidentyfikować.

Znakomity polski badacz Cybulski oraz niemiecki psychiatra Berger odkryli, że mózg człowieka wytwarza prąd elektryczny. Ta czynność mózgu, nazwana czynnością bioelektryczną, jest rejestrowana przez aparaty zwane elektroencefalografami, a zapis prądów bioelektrycznych mózgu nazywa się elektroencefalogramem (w skrócie EEG).

Badań elektroencefalograficznych możemy dokonać przez kości czaszki, całkowicie bezboleśnie i bezpiecznie u człowieka zarówno czuwającego jak i śpiącego.

Posługując się tą metodą badań, tacy badacze jak Dement, Kleitman, Aserinski, Oswald stwierdzili, że prądy bioelektryczne mózgu śpiącego są zupełnie inne aniżeli prądy mózgu czuwającego. Jeden rzut oka specjalisty wystarczy, aby ocenić zapis EEG i stwierdzić, czy jest to zapis człowieka czuwającego czy śpiącego. Badawia w czasie snu prowadzono na tysiącach ochotników w tzw. „laboratoriach snu”, używając co noc setki kilometrów taśmy papierowej, na której rejestrowano bioelektryczne czynności mózgu śpiącego.

Stwierdzono, że mniej więcej po upływie 90 minut od chwili zaśnięcia pojawia się w zapisach EEG bardzo interesująca faza snu. Ruchy gałek ocznych wykazują nagłe szybkie skoki. Obie galki oczne poruszają się nagłe w tym samym kierunku, jakby człowiek chciał na coś spojrzeć. Zjawisko to nazwano REM (od angielskiego rapid eye movements — szybkie ruchy gałek ocznych). Obudzenie człowieka w fazie REM daje 90% pewności, że przeżywał on jakieś marzenia senne. Ludzie budzeni w innych fazach snu bardzo rzadko relacjonują przeżywanie marzenia sennego. W czasie snu zwalnia się oddech, serce bije wolniej, ciśnienie krwi

spada, mięśnie się rozluźniają. Zauważono, że w fazie REM oddech człowieka staje się nieregularny i szybki, akcja serca jest przyspieszona, mięśnie napięte, a ciśnienie krwi wzrasta gwałtownie; człowiek niespokojnie przewraca się na łóżku, czasami wypowiada niezrozumiałe słowa, a nawet krzyczy. Faza REM pojawia się co 90 minut w ciągu nocy i trwa łącznie około 1,5 godziny w czasie 8-godzinnego snu, 4 do 5 razy zapadamy w ciąg nocy w fazie REM nasyconą bogactwem przeżyć psychicznych.

Jeżeli człowiek żyjący 70 lat przebywa pogrążony we śnie 20 lat, to w tych 20 latach marzenia senne zajmują czas około 6 lat.

Powstaje pytanie, czy te 6 lat marzeń sennych, będących nie byle jaką cząstką naszego życia, jest zjawiskiem mającym ważne dla nas znaczenie, czy też jest rezultatem pracy mózgu pozbawionego kontroli, zjawiskiem marginesowym i blahym — nielostymym dla badacza ośrodkowego układu nerwowego?

Nie ulega wątpliwości, że treści marzeń sennych pozostaje w ścisłym związku z naszą nabytą wiedzą, strukturą osobowości, problemami i konfliktami przeżywanymi w stanie świadomości, że zależy od tego, czy jesteśmy zdrowi i bezpieczni u człowieka zarówno czuwającego jak i śpiącego.

Pamięć marzeń sennych jest niezwykle krótka, wielokrotnie po upływie kilku czy kilkunastu minut nie jesteśmy w stanie odtworzyć dokładnie treści marzenia sennego.

Współczesny badacz, usiłujący rozszyfrować tajemnicę marzenia sennego, interesuje się nie tyle treścią marzenia sennego, ile i przede wszystkim zjawiskami fizjologicznymi, jakie zachodzą w czasie, gdy uspijony człowiek przeżywa marzenia senna. Faza REM okazała się najbardziej interesującą fazą snu.

Postawiono pytanie, czy pozbawienie człowieka różnych faz snu może mieć jakies następstwa? Okazało się, że budzenie człowieka w różnych fazach snu, z wyjątkiem fazy REM, nie ma istotnego znaczenia, nie daje żadnych uchwytnych skutków.

Całkowitym zaskoczeniem dla badaczy były badania nad ograniczeniem fazy REM.

Dement i Fischer w pierwszej fazie eksperymentu budził ochotników w momencie, gdy zapis EEG wskazywał, że wchodził on w fazę REM. Postępowe-

tury zachodniej. Owa egzystencjalna bezsensowność i samotność człowieka. Poglądy.

Równocześnie jednak w odczynie Graham Greena w roku 1953 powstał z inicjatywy Chada Varacha pierwszy na świecie telefon zaufania, zwany tam „Organizacją Samarytanów”, której działalność podtrzymuje wiara, iż człowiek potrafi zrozumieć człowieka i potrafi mu pomóc. „Samarytanie” nastawili się głównie na pomoc ludziom noszącym się z

Lubelski szpital był organizatorem trzeciego już w Polsce spotkania przedstawicieli telefonów zaufania z całego kraju, które odbyło się w Lublinie 14-15 X br. Do spotkania włączyły się też lubelskie oddziały Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego i Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, organizując konferencję na temat: „Samobójstwo jako problem lekarsko-społeczny”. Na to ważne i świetnie zorganizowane spotkanie przyjechał Chad Varach, a

czyż rozważaną długo „na zimno”. W wypadkach szczególnego zagrożenia samobójczego zawiadamia się pogotowie ratunkowe i MO. Czasem ludzie dzwonią bowiem już po zażyciu dawki trucizny, bo się przestraszyli swego kroku. Czasem chcą przekazać swoisty komunikat (dla ludzkości o swoim prywatnym końcu świata, i wtedy niekiedy bywa za późno. W tym sensie telefon zaufania jest środkiem doradczym w profilaktyce samobójczej.

Chad Varach powiada, że tylko jedna na osiem zgłaszających się osób potrzebuje pilnej pomocy psychiatry. I doświadczenia polskie w najogólniejszym zarysie to potwierdzają. Najczęściej bowiem telefonują ludzie w zasadzie psychicznie zdrowi, lecz przeżyający jakiejś tragedię, które ich mogą wytrącić ze zdrowia psychicznego (porzucona kochanka, wdowa nad grobem męża...), ludzie w sytuacjach nerwicogennych, konfliktowych. W tych przypadkach specyficzny rodzaj kontaktu, jaki daje telefon zaufania, jest może nie tyle formą psychoterapii, ile raczej formą współczesnej, laickiej spowiedzi. Sama możliwość mówienia o swoich trudnych sprawach, niejako psychicznego oczyszczenia się, jest tutaj niezmiernie istotna. Jeśli czasem ludzie przestają dziś wierzyć, że Bóg ich kocha i wysłuchuje, to chcą przynajmniej wierzyć, iż słucha ich drugi człowiek i jest im życzliwy. I w tym upatruję najistotniejszy sens działania tych linii nadziei. Przypadki bowiem leżące bezpośrednio w kompetencjach psychiatry i tak wymagają bezpośrednich kontaktów z pacjentem, na co w zasadzie nie mogą sobie pozwolić nasze telefony zaufania, a mogą jedynie pośredniczyć.

Istnieją więc wątpliwości, kto ma być czołową postacią telefonu zaufania: psychiatra, psycholog, lekarz innej specjalności, prawnik? Myślę, że wszyscy po trochu, i to jest jeszcze sprawa do organizacyjnego rozwiązania. Przede wszystkim jednak decyduje osobowość słuchającego, jego doświadczenie i żyłka społecznikowska. I więcej na ten temat nie ma co mówić.

W Polsce wykształciły się zasadniczo dwie formy organizacyjne telefonów zaufania. „Wrocławska” (do tej należy Lublin) — bezpośrednio powiązana ze służbą zdrowia, wyposażona w możliwości etatowe i w ogóle finansowe. „Gdańska” — oparta przede wszystkim na działalności społecznej i kontaktach ze stowarzyszeniami wyższej użyteczności publicznej. I ta forma przeżywa pewne kłopoty, jak choćby świadczy przykład Białogostoku, gdzie brak chętnych na stanowiska dyżurników.

Stanowisko resortu zdrowia spro-

wadza się do obawy, by nie zburokratyzować i sprofesjonalizować instytucji telefonu zaufania. Zależy raczej łańcuchowi ludzi dobrej woli, rozumnych pośredników, bo okazuje się, iż społeczeństwo nie potrafi po prostu korzystać z rozbudowanego aparatu służby zdrowia. Trudno odmówić temu stanowisku słuszności. Ale...

Potrzebne są jakieś pieniądze, i jakieś etaty, i jacyś fachowcy — jeżeli telefony zaufania w naszym kraju miałyby się stać załącznikiem systemu inżynierii społecznej, w którym niebagatelną rolę mogłyby przejąć odgrywać także jednostki służby zdrowia. Te linie nadziei pełnią nieocenioną rolę jako aktualne sondy zdrowia psychicznego populacji miejskiej (o zatruciach pływem „Tri” i w ogóle przypadkach narkomanii wśród młodzieży wiedzieli pracownicy telefonów zaufania znacznie wcześniej, niż to się przedostało do szerszej wiadomości). Dla skuteczności takiego rozpoznania, czy w ogóle skuteczności działania placówek tych współczesnych Samarytanów, potrzebne by jednak były większe możliwości bezpośrednich kontaktów osobistych „wołającego” i „pomagającego”. Trzeba też naukowo ocenić i porównywać wyniki — jak powiada Chad Varach. Ponadto ktoś musi pośredniczyć w konfliktach międzyлюдzkich, skoro się doń o poradę w takich sytuacjach ktoś zwraca. „Ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś”.

Słowem, bez pieniędzy nie da się w żaden sposób nawet realnie myśleć o uruchomieniu czy choćby tylko zainicjowaniu systemu inżynierii społecznej jako środka długofalowej profilaktyki samobójczej i jako metody podniesienia stanu psychicznego zdrowia ludności. Tymczasem w Polsce nie ma zunifikowanej organizacji, zrzeszającej telefony zaufania i umożliwiającej szerszą, a nie tylko sporadyczną, wymianę doświadczeń.

Ze się zagalopowałem, albo że brzydko tak wciąż o pieniądzach? Więc może zakończę powiedzeniem z pięknego filmu TV, poświęconego problematyce samobójstw — „Zawsze jednak można coś zrobić, w każdej sprawie”.

I P O M O C

Maciej Podgórski

zamiarem samobójstwa — jak powiada Chad Varach — w ciągu 19 lat istnienia organizacji liczba samobójstw w Anglii i Walii zmniejszyła się o 1/3. Obecnie istnieje tam 130 punktów telefonu zaufania, udzielających porad 90 tys. osób rocznie. Działanie.

Dziś cała właściwie zachodnia Europa posiada podobne organizacje, rozmaicie nazywane: linie nadziei, glosy przyjaciela, telefoniczna troska o duszę, wołanie i pomoc. Powstała międzynarodowa federacja telefonów zaufania, w Genewie wydawany jest biuletyn. Z krajów socjalistycznych telefon zaufania mają Czechosłowacja i Polska. W naszym kraju inicjatorem tej idei był prof. Kielański. Pierwszy dzwonek telefonu zaufania odezwał się 14 VI 1967 roku we Wrocławiu. Obecnie w większości województw, choć nie we wszystkich, istnieje podobne placówki. Lubelska powstała 2 V 1969 roku dzięki staraniom dr W. Brennenstuhla, dyrektora Państwowego Szpitala dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych w Lublinie.

także prezes międzynarodowej federacji telefonów zaufania, przedstawiciel naszego resortu zdrowia, przedstawiciel placówek z Anglii, Czechosłowacji, Szwajcarii oraz polscy lekarze, psychologowie, filozofowie i prawnicy. Już to mówi nieco o randze tej imprezy. Spotkaniu nie towarzyszył może przesadny rozgłos, aczkolwiek mówiono tu o nadzwyczaj istotnych dla współczesnego człowieka sprawach, które po części dały asumpt i do niniejszego artykułu.

Polskie doświadczenia podpowiadają, że choć tradycja tych placówek wiąże się z zapobieganiem samobójstwom, w praktyce działalność telefonów zaufania obejmuje znacznie szerszy krąg ludzkich spraw. Lublin notuje około 2 proc. rozmów, kiedy wiadomo, że występuje zagrożenie samobójcze. Wrocław około 2-3 proc. Decyzje rezygnacyjne mają często podkład emocjonalny i rozmowa telefoniczna potrafi doprowadzić do intelektualnego opanowania i rozładowania sytuacji noszącego się z zamiarem samobójczym człowieka. Potrafi też odwieść i unicestwić de-

Zasadniczym problemem każdej placówki jest, kto i dlaczego woła o pomoc oraz kto i jak tej pomocy udzieli.

Jeśli wykluczyć dowcipy podpiętych panów pytających o hasła do krzyżówki, o rozwiązanie zadań matematycznych czy porady z zakresu savoir-vivre'u jeżeli też wykluczyć, wcale nierzadkie pytania o typowe porady prawne czy medyczne (boli mnie to lub owo, co mam robić?), kiedy to odsyła się pytających do odpowiednich specjalistów — pozostaje przede wszystkim dziedzina spraw partnerskich natury seksualno-uczuciowej, o co pyta głównie młodzież, a zwłaszcza dziewczęta, choć nie tylko młodzież i nie tylko dziewczęta. Dużo kwestii z zakresu konfliktów rodzinnych: zdrady małżeńskie, kłopoty wychowawcze, alkoholizm członka rodziny... (Rodzina współczesna!). Sporo telefonów od ludzi samotnych — starych i opuszczonych. Nierzadkie telefony typu: „dobrze, że ktoś czuwa”, albo „opowiedzcie jakiś kawał, bo mi smutno”, co może zresztą przerodzić się w głębszą i poważniejszą rozmowę.

w ten sposób badacze pozbawiali śpiących jedynie 65% całkowitego trwania fazy REM w ciągu nocy. Już skutki tego postępowania okazały się bardzo groźne. Badani częściej wchodzili w ciągu nocy w fazę REM niż to bywało w poprzednich nocach, w ciągu dnia czuli się źle, skarżyli się na trudności koncentracji uwagi, stany rozdrażnienia i niepokoju, niektórzy wykazywali nadmierną żarliwość, u innych wystąpiły stany lękowe. Kiedy pozwolono im spać bez przerwy w ciągu następných nocy, fazy REM następowały po sobie szybciej i były bardziej intensywne. Dement przeprowadził badania nad pozbawieniem fazy REM w ciągu 16 nocy. Badanych budzono sygnałem dźwiękowym na początku każdej fazy REM. Po 8 nocach badani stali się oporni na budzenie sygnałem dźwiękowym, tak że trzeba było do budzenia używać siły fizycznej, jednakże badani natychmiast zapadał w fazę REM. Okazało się, że dalsze hamowanie faz REM jest niemożliwe bez całkowitego pozbawienia badanych snu.

Następne noce bez budzenia w fazie REM były prawie całkowicie wypełnione tą fazą, jak gdyby badani „odrabiali zaległości”, a po kilku takich nocach model elektroencefalograficzny snu powrócił do normy znamiennej dla każdego z badanych.

Wysuwa się obecnie przypuszczenie, że zahamowanie fazy REM powoduje gromadzenie pewnych substancji chemicznych, które mogą doprowadzić do różnych zaburzeń czynności psychicznych człowieka, aż do choroby psychicznej właściwie.

Są ludzie, którzy twierdzą, że nie mają żadnych marzeń sennych. Badania tych ludzi wykazały, że występuje u nich rytm snu z fazą REM. Budzenie ich w czasie fazy REM pozwoliło na stwierdzenie, że występują u nich marzenia senna, o czym sami ze zdumieniem relacjonowali. Zatem problem u tych ludzi polega nie na braku marzeń sennych, a na braku zdolności zapamiętywania marzeń sennych.

Rozległe badania prowadzone na całym świecie wykazały, że różne leki i substancje chemiczne powodują skrócenie lub całkowite zahamowanie fazy REM. Między innymi do tych związków należą alkohol, barbiturany, różne środki nasenne, uspokajające, jak również narkotyki. Wymienione związki stosowane w dawkach niewielkich skracają tylko nieznacznie fazę REM — stosowane przewlekłe i w nadmiarze prowadzą do istotnego skrócenia fazy REM lub całkowitego jej zahamowania. Należy zatem podkreślić, że zarówno barbiturany

jak i trankwilizatory oraz wszystkie znane obecnie środki nasenne nie wywołują snu fizjologicznego. Sen fizjologiczny bowiem to sen, w którym nie ma skróconej fazy REM.

W tym świetle nie ma potrzeby przekonywania, że nadużywanie tych preparatów jest wysoce szkodliwe.

Nadużywanie alkoholu w sposób przewlekły doprowadza do stanu choroby psychicznej, który nazywamy majaczeniem alkoholowym.

W majaczeniu alkoholowym pojawiają się początkowo bogate i niezwykle plastyczne marzenia senna, których chory nie jest w stanie odróżnić od rzeczywistości, następnie występują bogate halucynacje wzrokowe i słuchowe w dzień, ze szczególnym nasileniem w godzinach wieczornych i nocnych. Alkohol skracając i hamując fazę REM — w majaczeniu alkoholowym mamy eksplozję marzeń sennych zarówno w czasie snu jak i w czasie czuwania.

Peter Tripp — pozbawiony się dobrowolnie snu, pozbawił się fazy REM — co również spowodowało halucynacje wzrokowe i słuchowe.

Tak więc zagadkowe zjawisko marzenia sennego, w czasie którego unosimy się lekko nad wierzchołkami drzew, spadamy do przepaści, uciekamy przed prześladowcami w zwolnionym tempie, dokonujemy niezwykłych wyczynów lub nagle znajdujemy się nadzy przed licznym audytorium — zjawisko marzenia sennego nabralo rangi fizjologicznego stanu, bez którego organizm człowieka nie może sprawnie funkcjonować.

Wyrażając się dokładniej: układ nerwowy każdego człowieka musi kilkakrotnie w ciągu nocy rozładowywać się w fazie REM, w czasie trwania której występują marzenia senna, aby mógł sprawnie funkcjonować w stanie czuwania.

Nie potrafimy wprawdzie wyjaśnić wszystkich fizjologicznych mechanizmów fazy REM; nie wiemy jeszcze, dlaczego faza ta ma tak ogromne znaczenie i nie wiemy, jakie biochemiczne procesy zachodzą w fazie REM — ale wiemy na pewno, że 6 lat marzeń sennych, jakie przeżywamy w ciągu naszego biologicznego trwania, jest tak samo niezbędne dla życia jak pokarm i woda.

Jak umiera zabytek...

Marek Kusiba

W IES Żyrzyn leży 10 km od Puław. Wygląda jak wzorowy ogródek jordanowski. Czysta, ukwiecona. Ma własny ośrodek zdrowia, nową szkołę, przedszkole i restaurację „Leśniczanka” tuż przy szosie warszawskiej. Domów krytych słomą prawie nie widać, Eternit i blacha. Budują się wszędzie. Żyrzyn jest typową uliczką. Po obu stronach chodniki. Zamiast drewnianych płotów — różnokolorowe żelazne parkany.

Z naturalnym urokiem wsi wiązą nadzieje miejscowi działacze — z roku na rok coraz więcej tu letników, najczęściej przyjeżdżają na soboty i niedziele z Puław, a nawet z Lublina. Piękne stawy, stary park, czystość powietrza i grzybiodajne lasy — cóż trzeba więcej? Gdyby tak jeszcze obok nowego parkingu stanął motel zapowiadany od dawna... Ale na tę inwestycję, jak na razie, nie ma widoków.

W żyrzyńskim parku, często odwiedzanym przez turystów, modrzewiowy dworek z XVIII wieku o nazwie „Lamus”. Liczy sobie z górą 200 lat. Reprezentuje styl baroku klasycznego. Obudowany gankami wspartymi na kolumnkach, pokryty czterospadowym dachem z lukarnami, wygląda okazale... ale jedynie w odbiciu w szybie, gdy się patrzy przez okno szkoły rolniczej, której jest własnością. Otoczony zarosłami, przysłonięty zwisającymi gałęziami wysokich topoli i dębów — romantyczny i majestatyczny w swoim wiekowym pięknie. Ale, powtarzam, tylko refleks w szybie dodaje mu splendoru. Bo w rzeczywistości dworek w Żyrzynie to walcząca się rudera. Od wielu lat chyli się coraz bardziej ku ziemi jak schorowany starzec. Jedzony przez grzyba, dewastowany przez chuliganów, skazany na niechybną śmierć. No ale jak to możliwe, pytam się nie ja pierwszy, skoro są instytucje powołane do ochrony zabytków, skoro dworek użytkuje szkoła rolnicza, skoro władze terenu chcą się pochwalić atrakcją turystyczną?

Odpowiedź nie jest tak prosta, jak wskazywałyby na to logiczne przesłanki. Od dawna trwa wymiana papierków pomiędzy dyrektorem szkoły, konserwatorem wojewódzkim, Pracownią Konserwacji Zabytków i władzami lokalnymi, ale efektów tej korespondencji nie ma prawie żadnych. Do podpisanej w tym roku umowy z PKZ na przeniesienie zabytku do skansenu Muzeum Wsi Lubelskiej należy dołą-

nie wykonania dokumentacji konserwatorskiej i technicznej, niezbędnej przy remoncie zabytku na miejscu. Na ten cel wydatkowałem osiemdziesiąt tysięcy złotych i sprawa na tym stanęła, ponieważ uzyskałem decyzję, że dworek przeniosą do skansenu. We własnym zakresie dokonaliśmy jedynie koniecznego remontu dachu, bo mieszkańcom lało się na głowę. Następnie zwróciłem się do INCO o wydanie



Dworek w Żyrzynie

Fot. H. Gawarecki

czy długą listę decyzji i posunięć czysto teoretycznych, które jedynie odwiekały w nieskończoność sprawę „Lamus”.

Właścicielem i użytkownikiem dworku jest Zasadnicza Szkoła Rolnicza w Żyrzynie. Jej dyrektor wyjaśnia:

— Dworek częściowo użytkujemy na pracownie i mieszkanie dla nauczyciela. W zakresie swoich możliwości zrobiliśmy wszystko, na co nas było stać, to znaczy stać nas było na bardzo niewiele. W 1967 roku otrzymałem od Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków polece-

orzeczenia mykologicznego w sprawie stanu zagrzybienia i porażenia przez szkodniki drewna. Uzyskałem je zupełnie gratis, co jest warte podkreślenia. Ale orzeczenie zalecające wymianę podłóg i ścian, czyli generalny remont, nie mogło się już na nic przydać, ponieważ była decyzja przenosin do skansenu, a poza

Dokończenie na str. 11

Kamena str. 7

Moja droga

Życie ustala się.
Mieszkaniec dawny wioski
Wspominam czule dziś
Rodzinnej chaty dym.
Ach, wiersze me,
Skladajcie cicho strofki
O życiu mym.

Wieśniaczej chaty mrok
I dziegiu woń zastala.
Ołtarzyk stary,
Łagodny lampki blask.
Jak dobrze to,
Ze zachowałem
Bogactwo tych dziecięcych łask.

Za oknem biel:
To stos zamieci śnieżnej.
Mam dziewięć lat.
Babunia, topczan, kot...
I babki taka smutna pieśń
Jak step bezbrzeżny.
Staruszka jedna się
Wpatrzona w płatków lot.

Za oknem zamieć.
To się gonią
Tańczące, rzekłbyś, trupy w taki
czas.

Cesarstwo wtedy
Zmagalo się z Japonią
I wszystkim w oczach drżał
Dalekich krzyży las.

Nie znalazłem wtedy
Spraw ponurych Rosji,
Po co i na co
Ten wojenny czad.

Riazańskich smugi pól,
Trud chłopów, szczyki kas ich,
Wiosenna siejba zbót
To wtedy był mój świat.

Pamiętam tylko to,
Ze chlapi wciąż sarkali,
Klnąc Boga, czorta
I cesarski rząd.
Lecz tylko im się
Uśmiechały dale
I tlił się zarzy
Cytrynowej łont.

I wtedy właśnie
Związałem się z wierszem.
Od wiru uczuć
Kotłował się mózg.
Wypuszczę więc swą duszę
W słowach jak najszczęśliwych,
Skoro mnie świerzy jakiś mus.

Za mgłą was widzę dziś,
O lata wy umarłe.
Pamiętam, dziad mi
Z smutkiem kiedyś rzekł:
„To wszystko brednie,
Lecz gdy się uparłeś,
O zbożu pisz
I sław kobyli bieg”.

I już do muzy
Zapał rósł skrzydlaty
I w ciszy płynął
Tajnych marzeń rój.
Ze będę kiedyś
Sławny i bogaty

I że w Riażaniu
Stanie pomnik mój.

Szesnaście rok,
Już kocham się po uszy
I kryję słodką
Tajemnicę swą,
Ze tę najlepszą
Z wszystkich dziewcząt muszę
Palić choćby nie wiem co.

Za rokiem rok,
Zmieniają się oblicza
I pada na nie
Promień innych róz.
Marzyciel wiejski —
Tam w stolicy
Poeta sławnym stał się już.

W pisarskiej nudy
Pochwycony sploty,
Jąłem się włożyć to tu, to tam,
Nie pragnąc spotkań,
Nie wierząc w tęsknotę
I mając cały świat za kłam.

Wtedy pojąłem,
Co to znaczy Ruś
I zrozumiałem, co to słowa.
Dlatego smutek
W duszę wrósł
I stał się moją gorzką strawą.

Po diabła każdy
Mnie poetą zwie!
I tak beze mnie śmiecia dosyć.
I choćbym zdechnął,
Tyko...
Nie,
Nie trzeba mi pomnika wznosić!

Rosja i ucisk...
Carska straż...
I pobłażliwość wielkopańska.
No cóż!

Gdy tak, to, Moskwa, masz
Me rozpaczliwe chuligaństwo.

Zobaczym —
Kogo kto pokonał
I oto w wierszach mych
Ochozła
Po lśniących zgrai tej
Salonach
Kobyła jeła chlustać moczem.

Co, nie podoba się?
No, racja —
Wolicie perfum woń,
Mimozy...
Ale ten chleb,
Co go tak ćpacie,
Myślimy go tego też...
Nowozem...

Znów minął szereg lat,
A w latach tych coś było,
Co nie da się
Prosty słowy rzec!
Roboczy powstał lud
Z majestatyczną siłą
I carat przed nim musiał lec.

Wyartłszy kątów
Obczyzny niemalo,
Witalen znów
Rodzinny dom.
Zielonowłosa
W sukieneczce białej
Spogląda brzożka w stawu dno.

Ależ to brzożka!
Pierś jej zachwył budzi,
Bo takich piersi
Nie ma z kobiet nikt...
Wracają z pól zbrzyżani słońcem
Ludzie,
Ostatni z żytem wóz
Za chwilę znikł.

Nie poznał żaden z nich,
Ot, ktoś tam nowy...
Lecz oto moja
Jakaś baba mnie.
I nagła myśl
Udarza mi do głowy
I płecy dreszcz ku ziemi gnie.

Nie może być!
I nie poznała ona?
Przechodzi obojętnie tak?
Ach, niech tam, cóż
Wszak i beze mnie
Jest życiem udęczona —
W wyrazie ust
Widoczny tego znak.

W wieczarny czas
Zsunąwszy czapki daszek,
Aby nie zdradzić,
Co ukrywa wzrok,
Popatrzyć chodzę
Na te stępy nasze
I słuchać,
Co mi szeptem zmkro.

Cóż począć,
Minął mój mych lat!
Czas wielki
Zabrać się do pracy,
By owocował duszy kwiat,
By śpiewać już inaczej,
I niechaj nowy na wsł czas
Napełni znów
Mnie nową siłą
Jak przedtem
Sławy dala blask
Rosyjska bliska mi kobyła.

1925

Przełożył:

Kazimierz Andrzej Jaworski

(Druga redakcja przekładu. Utwór ten w pierwszym tłumaczeniu był zamieszczony w nr-ze 62/63 „Kamery”.)

STRAŻNIK wodny Mokszyń dożywał swych lat na brzegu niegdyś cichej, swojskiej, a teraz coraz niespokojniejszej Zyrianki. Malutki, czekoladowej barwy domek Mokszyń przycupnął pod zboczem, nie opodal ujścia, gdzie rzeka niespodziewanie się zwała, a obrazowa nazwa tego zakątka — Żurawia Szyja — była nadzwyczaj trafna.

Mokszyń przepracował tu prawie pięćdziesiąt lat i gdy dyrekcja zaproponowała w pewnej chwili, aby się przeniósł w górę rzeki, urażony odmówił kategorycznie, chociaż ze wszystkich widak było, że stary z trudem sobie radzi na tym „ruchliwym skrzyżowaniu”.

Na pozór życie Mokszyńa mało się zmieniło od czasu, gdy po Zyriance zaczęły kursować szybkie motorowce, gdy przetoczyły się jej brzegami potężne ryki syren, ale wewnątrz cały trwał on w jakimś napięciu, w skupieniu i za każdym razem smętnie kiwał głową ujrząwszy miły sercu stary holownik „Onegę” albo jeszcze starszego „Kasimowa”, usłyszawszy, jak w zadumie rozgarniają one fale łopatkami wolno obracających się kół.

Nikt dokładnie nie wiedział, jakie myśli snuły się w takich chwilach po głowie Mokszyńa, ale odgadnąć je i jakoś zrozumieć serce strażnika tych wód można było.

Pewien znajomy inżynier w Kholmnie opowiadał mi, że w dniu, gdy ich fabryka parowozów przeszła do produkcji lokomotyw spalinowych i ostatni parowóz dysząc i dymiąc opuszczał podwórko fabryczne, wielu starych robotników zdjęło czapki i patrzyło za nim ze łzami w oczach.

— To nie parowóz odjeżdżał, to odchodziła cała epoka — zakonkludował inżynier.

Często wspominałem później tę rozmowę obserwując swego nowego znajomego, Mokszyńa. Zastanę go w chwili, gdy smętnym spojrzeniem odprowadza jakiś przujący dziobem fale statek i w duchu żal mi się robi starego. Niekiedy przysiadę się nawet do niego, poklepię po ramieniu, rzeknę słowami inżyniera z Kholmny:

— Przeżywasz, co? Współczuję ci. To epoka cała odchodzi...

Nie od razu domyśliłem się, że stary nie może tego znieść. Pewnego razu wprost podrzucilo go od tego mojego bezsensownego pocieszenia.

— Coście się wszyscy znowili, czy jak? Epoka, epoka! I bez was wszystko rozumiem.

Ale czy chciał tego Mokszyń czy nie, czasy kołowych, cicho płynących statków rzeczywiście się kończyły. Na ich miejsce przychodził inny wiek — wiek innych prędkości i mocy, i nikt jeszcze nie wiedział należycie, jakie niespodzianki szykował on w swych dokach i biurach projektowych.

Wszystko stare coraz ściślej przepłatało się na Zyriance z najnowszym. Latane i zniszczone „Onegi” i „Kasimowowie” coraz częściej pozostawały za rufą statków na podwodnych skrzydłach, poduszki i bóg wie jeszcze jakich dziwolągów atomowego wieku. Przeleci, przemknie z szybkością rakiety jakiś „Sputnik” albo powiedzmy „Kosmos” —

— A „Samolot”?

— „Samolotu” też nie znam.

— A „Po Woldze”?

— I „Po Woldze” też nie.

— No tak. A ja, bratku, każdy statek już zza cypla, bywało, rozpoznawałem po głosie.

— A jak teraz?

— Teraz też. Chociaż mam już swoje lata, ale nie pomyśl syreny żadnego ze statków.

— A co do tej epoki, Mokszyń, toś się niepotrzebnie obrazil. Powiedzieli mi się tak po prostu, nie gniewaj się.

Stary nic nie odpowie, tylko ręką machnie. Mogę się tylko domyślać, jakie słowa przelknął wraz z kłębem dymu z machorki.

Drewniany stateczek

Wiktor Tieplugow

Mokszyń zaś tylko się wzdygnął, tylko siwą głowę obrócił, a po nim już ani śladu, jedynie białe grzywacze rosły, rozchodzą się jak smuga kondensacyjna samolotu. Przemknie, skryje się w zamglonej dali, a za nim „człap — człap” sunie maleńki stateczek, któremu Mokszyń, jak dobremu przyjacielowi, ręką pomacha. Potem spojrzy na mnie prawie zyczliwie, jak gdyby już całkiem zapomniał o naszym zajęciu, i nagłe popada w liryczny nastrój. Wówczas się okazuje, że wszystkie „dane personalne” każdego ze starych holowników Mokszyń pamięta lepiej niż własne. Opowie mi, jak się nazywał „ten piękny statek” przed rokiem siedemnastym, do kogo należał, jak gwałbiały i wszystko inne.

— A towarzystwa „Kaukaz” i „Merkury” znasz oczywiście?
— Skąd mogę znać? — rozkładam ręce.

Przemieszkalem prawie całe lato nie opodal domku Mokszyńa. Przez cały ten czas, gdy tylko miałem okazję, przypatrywałem się starem, jego pracy, jak bacznie przyglądał się spod uniesionej dłoni sunącym wolno przez Żurawia Szyję przedpotopowym pudłom i mknącym ze wszystkich sił „Sputnikom” i „Kosmosom”.

Nasze spotkania z Mokszyńem urwały się niespodzianie. Do starego przywieziono wnućka ze wsi i cały czas wolny poświęcał teraz jemu. Tylko z daleka, ze stoku, widziałem ich krzątających się pod oknami domku Mokszyńa. Chłopczyk miał na oko ze trzy lata, nie więcej, i stary nie brał malca ani na ryby, które tak lubił łowić, ani też, gdy płynął ku plawom. Najczęściej dziadek majstrował wnukowi jakieś zabawki. Z góry nie mogłem dojrzeć jakie, ale dobrze widziałem

lem odbłask noza myśliwskiego w słońcu, białą pianę strużyn i domyślałem się, że dziadek z wnukiem nie zbijają bąków.

Znalazłszy jakoś wolny czas zszedłem na dół do Mokszyńa. Widok, jaki ujrzałem pod oknami domu strażnika, wzruszył mnie do głębi: cała flotylla statków różnego rodzaju i typu płynęła po zielonym morzu murawy ogródka! Malce był wniebowzięty, laził na czworakach między zabawkami, ostrożnie je przestawiał i nadawał flotylli jakiś specjalny, jemu tylko wiadomy szyk.

Dziadek siedział na przyzbie i ledwie skłaniał się mi głową na powitanie, dalej coś zapamiętałe strugał. Wyraz twarzy miał skupiony, poważny, ale bez złości, jak to zazwyczaj. Brzożowy klocek, sprawnie obracający się w jego rękach, podstawił szybkim ruchom mocno lśniące w słońcu ostrza noża, to jedną, to drugą stroną.

— A to co będzie, dziadku? — zapytał przyglądając się nowej zabawce wnućka.

— A o to jego zapytał — Mokszyń spojrział przekornie w moją stronę. — On się lepiej na tym zna.

Spojrząwszy jeszcze raz na to, co robił dziadek, oniemiałem ze zdumienia — z kupki pachnących strużyn zupełnie wyraźnie wylaniały się zarysy nowoczesnego statku, i to nie było jakiego, ale... na podwodnych skrzydłach!

Byłem zdumiony, z jaką precyzją i fachowością techniczną odzwiercał nóż Mokszyńa piękne, dynamiczne kształty ostatniego cydu w przemyśle stoczniowym.

— No, teraz — bratku, możesz być zadowolony, co? — Mokszyń tyknął na mnie szklami okularów.

Pókim szukał słów dla wyrażenia zachwyty, stary podniósł gotowy model nad przechyloną głową malca, starannie zdmuchnął ze stateczku wszystkie bez wyjątku pyłki i roześmiał się.

— Epoka, bratku, to dla wszystkich epoka. Rozumiesz?

Mokszyń z wyrazem dumy na twarzy podał zabawkę jej prawowitemu właścicielowi.

— A no, zuchu, woduj statek. Wiesz, jak go nazwiemy? „Epoka”? Wiesz? „E-po-ka”!

— „Epoka”, „Epoka”, „Epoka”! — malce zaczął powtarzać niezrozumiałe słówko, które mu się jakoś bardzo spodobało i podskakując jednocześnie z drewnianym stateczkiem w rękach pobiegł wzdłuż plotu.

Przełożył: Waldemar Kiwilszo

Andrzej Wozniesiński

Bije kobieta

w jakimś kraju w jakim świecie nie wiem o północy w nowy rok
stoi stół zastawiony sześciu mężczyzn
i kobieta rozgniewana ich bije
może być towarzystwo nie w guście gdzie względy taniej niż
wódka w barze w każdym razie bije po łbach jakby trzepała
dywany

bij kobieto bij miła bij mścicielko grzmot majonezem tysego
w portkach

bij masuj im mordy za wszystkich kobiet doznane klęski
za to że wy zawsze pierwsze że na świecie dawno matriarchat
oddać się ubrać być mądra śmiać się takie męki nie przemijają
grzmot w niego nogami ze słoniny mężczyźni mściciele gdzie wy
ci tak bardzo chcą się zosłonić bij w rewanżu życie biały taniec
nie on ciebie a ty jego w życie ciągniesz pół litra kup smutno mu
żartuj zmęczysz się póki zacnie się śmiać
czy można lodami rzucić mu w twarz a czy można w mrozy stać
w północzochach

w swoje święto sobie samej darować kwiaty.....
i tylko w salonie gdy przeglądała się w lustrze
lustro pęknięte na pół na nią upadło

Wolny przekład
Aleksandra Rozenfelda

Bronisław Kieżun

Pejzaz jak na błysk magnesji
I ten ostatni taki oto:
Strażnik graniczny tam, na wieży,
A pod nim Bugu lśniące złoto.

A dalej, za Białą Podlaską,
Przez deszcz, co trochę dziś zacina —
Motyw z ojczyzny: plonie blaskiem
Tak bardzo bliska nam brzezina.

Jej blask przejrzyście biało-siny —
Pociecha naszych serc stęsknionych...
I w krąg brzeziny... w krąg brzeziny...
I w sutych amarantach klony.

Tam, za graniczną linią znaków
Tak samo dojrzewają lony
I krąży w koło stada ptaków
Nad lasów gęstych koronami.

Jesiennych pólkach zachownice,
Trawa i sady — całe z ugru,
I chat wieśniaczych kalenice —
Takie jak z naszej strony Bugu.

Chłop — nie polownik, ale władca —
Trochę się tam o swe zagony.
To Dnia Nowego wstaje zorza
I niesie Polsce bujne plony.

Mnie też rozgrzewa, niczym ogień...
Od dzisiaj bowiem już na wieki
To samo słońce wspólną drogę
Rozwiewa po dwóch stronach rzeki.

Przełożył:

Tadeusz Chrościelewski

Jurij Woronow

27 stycznia
1944 roku

Salut
Salwami w górę tryska.
Desenie rakiet nieba znaczą.

Noc jak starbarny kwiat rozblyska.
A ludzie, patrząc na to —
Placzą.

Lecz słów odwagi ni otuchy
Nikomu dzisiaj nie potrzeba —
Gdy tak radośnie,
Grzmotem głuchym
Salut zwycięstwa brzmi wśród nieba.

Choć radość
Bólem jest zatruta,
Co wzbiera i przerywa tamy:
W ten wieki dzień,
Na głos salutu —
Pół miasta nie powstało z nami.

Ludzie szlochają
I śpiewają,
I mokrych twarzy nie skrywają.
Leningrad
Święto święcić zaczęli
A w Leningradzie ludzie placzą...

Przełożył:

Andrzej Drawicz

PIERWSZA przybyła jego żona. Stach wrócił następnym samolotem. Zanim ludzie z Miasteczka zobaczyli go, żona pokreśliła się taksówką po ulicach i odwiedziła parę domów, z którymi przyjaźnił się przed wojną. Po wojnie Stach wstąpił do pewnej organizacji wówczas działającej. Podobno dlatego, że było to modne, niestety, sama organizacja szybko przestała być modna i Stach musiał opuścić kraj. Później zabrał do Kanady swoją żonę. Prowadził w Toronto niewielkie przedsiębiorstwo budowlane. Miał umiejętność współpracy z ludźmi, tak cenną w Ameryce, poza tym pracował od świtu do nocy: byli bezsielni, powodowało im się dobrze. Odbył kilka podróży po świecie, o których donosił w listach do kraju. Zwiedził Rzym, Wenecję, Paryż, byli na Wyspach Kanaryjskich (gdzie jest bardzo przy-

jemny klimat, gdzie przyjeżdżają starzy ludzie z Ameryki i Europy, gdy już mają pieniądze i chcą dożyć swych dni pod cudownymi palmami, w łagodnym słońcu Grand Canarias). Opowiadała o tych podróżach w całym domu, gdzie sadzano ją za odświętnymi polskimi stołami. Odwiedziła również swoją matkę, więc zobaczyłem żonę Stacha, o którym wiedziałem, że w Kanadzie przyjaźnił się z moim wujem. Miała utlenione włosy, wyfupiałe oczy i pomarszczoną szyję. Była opalona, tłuśtawa, inteligentna. Pocałowałem ją w rękę i przedstawiłem

jej swoją żonę. Pokazaliśmy jej nasze dziecko, którym zachwyciła się wprawdzie i higienicznie. Później siedzieliśmy w pokoju mojej matki, a żona Stacha opowiadała o Polach Elizejskich widzianych nocą. Zwracała się głównie do mojej żony, oceniała jej twarz i młodzież, mówiąc o rzekach aut, światła, bogactwa. Była w czarnym kostiumiku i w polskich butach, które kupiła za sześć dolarów (tak mało w Ameryce i tak dużo u nas, nad czym bolała). Na szyi obrączka na złotym łańcuszku — taki chyba amerykański obyczaj. Mówiła, jak

zawale, był zbyt wzruszony. Wtedy postanowił, że wróci do Kraju. Potem opowiedziała o piramidach i wyjaśniła sprawę Susezu. Pokazała swoje zdjęcie na wielbłądzie, które zrobił Stach przy pomocy aparatu kosztującego sto dolarów. Nie wozila wszystkich zdjęć, bo było ich zbyt wiele. Ale te były kolorowe i wyglądała na nich dobrze. Następnie opowiedziała, jak powo-

dził się mojemu wujowi. Na obiad pojechała do restauracji, którą pamiętała sprzed wojny. Powiedziała, iż jest to jej „podróż duszy”, ale wydawało się, że nie tylko — restauracja należała do najlepszych w Miasteczku. Nazajutrz wrócił Stach. Dzień był wiosenny, pełny słońca, zielonych drzew, ptaków. To była niedziela i ludzie odświętnie ubrani przyszli tłumnie zobaczyć człowieka, któremu powiodło się w Ameryce. Była również orkiestra i słońce odbiło się w złocie trąb. Była przemowa i kwiaty, nad Miasteczkiem kłowały gołębie. Wreszcie ludzie zobaczyli Stacha. Był różowy, uśmiechnięty, amerykański gdy podniesiono machonowe wieko i zajrzeli pod szyję. Jego dłoń umieszczono kunstownie wśród aksamitu, a ludzie opowiadali, że wyglądał jak w bombonierce. Dzień był zielony, polski.

Powrót Stacha

Marek Żenni

Okolice sztuki

Plwają na obrazy

JAN Dobkowski płynie właśnie ze Stanów Zjednoczonych do Polski; kiedy ukaże się ten felieton, „Dobson” będzie prawdopodobnie już w swoim mieszkaniu w warszawskim osiedlu Za Żelazną Bramą; wytarte dżinsy na kolku, wąsy na ramionach jak epolety carskiego generała, jakieś nowe odznaki na bluzie, na pewno z wizerunkiem Che Guevary, najpewniej jednak z Angelą Davis en face. Przez ostatnie kilkanaście miesięcy przebywał w USA na stypendium naszego Ministerstwa Kultury i Sztuki, przyznawanym wyjątkowo trafnie, nie tylko za znajomość języka angielskiego, o czym wspominać mając święto w pamięci przedziwne decyzje stypendialne związkowego autorstwa, honorujące malarzkie nieporozumienia. Płynie zatem, nie wiedząc, że obrazy jego stały się powodem skandalu obyczajowego. Teren skandalu mały, wymowa ogromna, przyczyna druki spora, lecz ktoś zmierzy skalę kryteriów estetycznych, stosowaną w

pięknym mieście powiatowym, znanym z działalności profesora Zina? Mierzyć zresztą nie ma sensu, bo mierzyć nie ma co. 1 października w Chełmie Lubelskim rozpoczęła działalność jedna z doprawdy nielicznych w Polsce galeria sztuki współczesnej, krótko i chwytliwie ochrzczona mianem „Galerii 72”. Nikt nie wpadł w Chełmie na tw. pomysł, organizatorzy niemal dwa lata przymierzali się do plastyki pojmoowanej na serio, po drodze urządzając plener malarski — lubelski, prawie ogólnopolski, prawie zgnojony przez ślamazarności i niezrozumienie okręgu ZPAP. Po tym trzeźwiącym kubie zimnej wody mieli prawo pojechać do Piask na flaki najlepsze, jakie można dostać na ziemiach polskich na wschód od Wisły, i przyprawić je z rozpaczy wódką najlepszą na świecie — jeśli nie liczyć włodawskiego samogonu. Ponieważ jednak są to ludzie zapamiętali w działaniu dla dobra, zamiast do Piask udali się po pomoc do Warszawy, gdzie przedstawili swoją ofertę plenerową członkom byłego Zarządu Głównego ZPAP, przyjętą zresztą ze łzami w oczach przez rzeczonych członków. Powtorczyli do rodzinnego miasta długo czekali na formalne potwierdzenie owej łzawej akceptacji — całkiem niepotrzebnie, bo Warszawa milczała. O całej sprawie dowiedział się ostatecznie pewien znany i energiczny artysta stołeczny i on to podpowiedział formę i dopomógł w otwarciu „Galerii 72”, na pierwszy ogień proponując wystawę Jana Dobkowskiego. Dal popalić, nie ma co! Dobson jest jednym z najciekawszych malarzy młodego pokolenia, stylistyka jego obra-

zów nie dopuszcza żadnych porównań, aczkolwiek gdzieś tam, na początku działania, komiksowy pop miałby alimentacyjne zobowiązania wobec twórczości absolwenta warszawskiej Akademii, malującego plasko, bez różnicowania planów, stosującego charakterystyczne typy deformujących ujęć i kapryśnych profilów; ten ostatni moment zaprowadził Dobsona w 1969 r. na wystawę, w roli udziałowca, pt. „Secesja?”, otwartą w „Galerii Współczesnej” Boguckich. Wystąpienia pod szyldem nie interesują jednak artysty, kiedy należał co prawda do ugrupowania twórczego, lecz instytucja ta liczyła raptem dwie osoby: Dobkowskiego plus Jerzy Zieliński, czyli „Neo — Neo — Neo”. Wszystko miało być najnowsze, twórczość duetu programowo zrywała ze sztuką wczorajszą i współczesną — jak to zwykle bywa wśród młodych. Agresywna kolorystyka, pulsowanie szero-kich płaszczyzn do granic oczopląsu, i forma dzieł Dobkowskiego przyciągają, ich treść i tematyka — szokują dwuznacznością sytuacji, w których człowiek przechodzi w malarskim zapisie w kształt jabłka, pierśi kobiece otwierają się jak dzbany, a korowody pływających postaci zmierzają do związków, powiedzialbym, intymnych. Te postacie są nagie — aż do wewnętrznej struktury ciała ludzkiego, ich schemat eksponuje żebra, kości dłoni i stóp, kanały narządów płciowych. Nieuąpliwie jest to malarstwo przesycone klimatem erotyzmu, lecz dalekie od powszechnych dzieł w sztuce skłonności do ekshibicji, interpretacji w tonie satanicznym, do wiązania erotyki z sadyzmem. Erotyzm obrazów

Dobsona jest radosny, ostatecznie stanowi element znakomicie zbudowanej pod względem malarskim metafory — apoteozy życia, jego biologicznej siły. Ktoś nazwał Dobkowskiego poetą i jest to określenie bodaj najtrafniejsze, zbliżające do sztuki młodego malarza — sztuki spontanicznej, żywiołowej, bez ciekawej pruderii w widzeniu sfery erotycznej człowieka. Zresztą tematyka tego malarstwa znacznie przekracza sygnalizowany tu zakres, liryczne „kobiety brzemienne” pierwszym z brzegu przykładem, trafniej zatem mówić o biologicznym witalizmie twórczości Dobkowskiego. Takie właśnie malarstwo, szalenie efektowne wizualnie, pokazano na otwarciu „Galerii 72” w Chełmie Lubelskim, którego nie zaszczylił swoją obecnością co godniejsze obywateli miasta. Ludzie zaś, którzy przychodzą do Muzeum — tam mieści się „Galeria” — spluwają na widok obrazów, a co bardziej zdecydowani wpisują swoje uwagi do księgi pamiątkowej, która stała się księgą prowincjonalnej kompromitacji. Takich zapisów nie spotykało się nawet w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, w momencie reaktywacji w Polsce plastyki nowoczesnej, przyjętej od momentu przez szerokie kręgi źle wychowanej publiczności. W Chełmie bezkarnie można publikować tomiki poetyckie i prozatorskie, nafszerowane straszliwymi fraszkami, w Chełmie opliwają sztukę, która osmieliła się wkroczyć w rejony pokryte anatemią księdza Pirożyńskiego. Ile takich Chełmów w kraju?

IJK

Halina Górka

* * *
Nadzieję mnie trzymając
goździki we flakonie
które mi dałeś
gestem szczerzej dłoni
ona we mnie podporą
i nadzieję w diagnozie
leczonych schorzeń
Bądź zdrów za to
dziękczynnie się kłaniam
uroslam w oczach
swoich małych doznań
nic nie obcuje
— bo tego nie żądasz
dzięki Ci za to
dzięki przyjacielu.

w sobie wchłania
kropkę po kropki
zmienia barwę
w odcieniu granat
błyska
huk jeden
i ulewa
zmyć z siebie wszystko
uściski, ciebie
westchnienie serca
przebac
o jednak tak trzeba



Halina Górka urodziła się w Lublinie, tu skończyła technikum ekonomiczne i tutaj cały czas mieszka. „Jestem związana z Lublinem od początku, poza Lublin od lat nosa wściawie nie wytykałam, choć ciążę... Córka często wysyła do krewnych na wsi i sama czasem pomagam w żniwach. Człowiek na wsi czuje się spokojniejszy, pewniejszy”. Tesknota wychodząca z murów miasta. Górka pracuje w Lubelskim Przedsiębiorstwie Handlu Sprzętem Rolniczym „Agroma”. („Więc nawet sprzętem rolniczym handluje...”).

Ze spokojem przechodzę

Całą pierśią, głęboko
wchłoniłam zapach pól wiejskich
wiosną
I ucz się ode mnie
córka moja mała
pole daje przestrzeń płucem
i oczom ostoję
ze spokojem przechodzę
miedzą
bo wiem, że chleba nie
zbraknie tej zimy
trzeba tylko schylić plecy
aż trud kroplistym potem obleje
nas
aż ziemia nasza do z siebie wszystko
* * *

Debiutowała wierszem w roku 1962 w „Kulturze i Życiu” (dodatku do „Stan-daru Ludu”). Publikowała w „Zapole” na łamach „Kamenu”, w „Głosie Młodzieży” oraz w „Lubelskim Arkuszu Poetyckim”. Należy do KKMP. Z temi-kiem poetyckim — jak dotąd — sprawa się nie za bardzo kłóci.
„Początki to była bardzo osobista twórczość, własne przeżycia, o miłości, pierwsze luty. Potem problemy, które drażnią człowieka na co dzień. Poemata nie tylko moje napięcie rozładowuje. Podpatruję znajomych i życie, o tym piszę. Ci nowi młodzieży? Tych bardzo trudno rozgryźć, ich poezję. Może ja trisną za prosto. Ale mój szef prosto z maszyni moje wiersze lapie i czyta, tak samo inni znajomi. Co czytam? Szalenie lubię Bloka, Tetmajera mój ostatni ulubieniec”.
Mała skromna realistka? Poezja jako osaczenie własnych tesknot za życiem na natury łonie? W każdym razie pisanie hartzo jest Halinie Górskiej potrzebne.
MP

P

RZEJRZAŁEM dwie jednojónki chełmskie: „Ziemię Chełmską” oraz „Zwierciadło” — ta ostatnia wydana dla uczczenia 50-lecia istnienia miejscowej drukarni.

W związku z tymi publikacjami nasunęło mi się szereg uwag. Z niektórymi pragnę się podzielić. Z góry mam prośbę do zainteresowanych o potraktowanie moich słów życzliwie. Jestem od urodzenia chełmianinem i nic, co chełmskie nie może być dla mnie obojętne. Dlatego jeśli w tym materiale znajdzie się szczypta gorczy, niech nikt nie próbuje oskarżać mnie o złośliwość. Bo gorzyc a złośliwość to zupełnie co innego...

Jacek Zajczkowski jest postacią znaną nie tylko w Chełmie. Ile już czytałem o nim publikacji na łamach różnych dzienników i tygodników! Nic dziwnego: on składał tekst Manifestu PKWN. O takich, jak on, ludziach pamięta się.
Manifest PKWN składał również Tadeusz Maruszewski. Na łamach „Ziemi Chełmskiej” dzieli się on swymi wspomnieniami z pamiętnych dni lipcowych.

Maruszewski pisze: Zaczynamy drukować (Manifest PKWN — przyp. MAJ), energii elektrycznej nie ma, maszyna duża, typu starego (...) Na zmianę (...) kręcimy za koło zamachowe (...) coraz mniej mamy siły. Trzeba coś radzić. Solska po namyśle udaje się do prezydenta miasta Stanisława Gutta z prośbą o pomoc. Ten znów wysłał Straż Obywatelską na ulicę, aby mężczyźni przechodzących ulicę werbowali do kręcenia maszyn. Początkowo szło opornie. Ale później, gdy zorientowali się, o co chodzi, chętnych do kręcenia maszyn nie brakło. Wydrukowane egzemplarze zabrał por. Jurkowski do siedziby PKWN...
A na łamach „Zwierciadła” Jacek Zajczkowski tak z kolei pisze: Gdyby nie pomysł Marii Solskiej, możliwym było, że „Manifest” drukowalibyśmy do zakończenia wojny, ale jedna dobra myśl może zrobić wiele. Energicznie zwróciła się do plutonowego, aby wyszedł na ulicę i przyprowadził kilku przechodniów, których, nawiazem mówiąc, nie było za wielu. (...) Dłuższy czas czekamy na plutonowego, nareszcie wchodzi, prowadząc za sobą kilkunastu mężczyzn.

„Jedni się topią w błocie...”

I dalej:
O zmkroku (...) cały nakład zabrał Miński, oświadczając, że kapitan Harny polecił cały skład zostawić, gdyż w wypadku zdobycia papieru będzie następny nakład...
Oczywiście można powiedzieć, że to są drobiazgi. Tak, ale rzecz dotyczy spraw niezwykle dla naszego narodu ważnych. I czytelnik w końcu nie wie, czy Solska dopiero za pośrednictwem ówczesnego prezydenta Gutta i Straży Obywatelskiej zwerbowała ludzi do kręcenia koła zamachowego, czy też uczynił to ów plutonowy, który znajdował się w drukarni. I czy egzemplarze Manifestu PKWN wziął por. Jurkowski czy też plutonowy (plutonowy — wynika to z innego fragmentu artykułu Zajczkowskiego) Miński.
Maruszewski i Zajczkowski do dzisiaj pracują w tej samej drukarni. Solska już nie żyje. Zastanawiam się, czy obaj nie mogą osiąść przy pół czarnej i zastanowić się, przypomnieć sobie, jak to było w rzeczywistości? Dzisiejsi i przyszli badacze tego okresu historycznego będą mieli znacznie ułatwioną pracę.
Niezależnie jednak od powyższych rozbieżności te materiały są dla mnie osobliście bardzo cenne. Zresztą historia chełmskiego „Zwierciadła” (drukarni) znalazła na łamach jednojónki szerokie i barwne odbicie. Zastanawiam się jednak, czy konieczne trzeba było w niej zamieszczać aż tyle poezji czy satyry, która w sumie — nie waham się użyć tego określenia — obniża wartość publikacji? Komu potrzebna jest fraszka pt. „Krańcówść”, która brzmi dosłownie tak: Jedni się topią w błocie/ drudzy to złocie?
Również w „Ziemi Chełmskiej” nie brakuje utworów literackich, ale, niestety, również i pseudoliterackich. Takie fraszki, jak np. „Po polsku”:
Czy tylko spod lady — do cholery!

kupują niektórzy Polsilvery lub też „Reklama”: Szkoda, że modne ubrania są dla niejednego drania zostałyby zdyskwalifikowane nawet przez redaktora gazetki śiennej. A koszt gazetki śiennej jest bez wątpienia mniejszy od kosztu publikacji wydawniczym drukarni. Inaczej mówiąc — nie mam przeciwko zabawie za własne pieniądze, sądzę jednak, że groź społeczny należy szanować.

Celowo nie wymieniam nazwisk autorów fraszek, bo nie chodzi mi o nazwiska. Dlaczego jednak redakcja jednojónki ukrywa się pod nie mi znaczącym słowem „kolegium”? Od osób zatwierdzających materiały do druku należy wymagać odpowiedzialności i odwagi w odrzuceniu typowej grafomanii, która w sumie szkodzi pięknej inicjatywie edytorskiej.

Tej typowej grafomanii w „Ziemi Chełmskiej” jest znacznie więcej. A. K. Waskiewicz nazwał ją kiedyś, boddaj w „Kulturze”, podziemiem literatury. Głębokim podziemiem jest taki obraz poetycki, jaki rozciąca autorka wiersza pt. „Ziemia moja”: — spojrz jak dumnie FSC z WSK obserwują pulawskie Azoty! — moja ziemia/ lasów parczoskich/ ziemia, Bilgoraja, Lublina! — i codziennych naszych troski! — radości! — kłopotów! — i. Co ja mówię — podziemiem! To jest poetycki sabotaż!

I później „Ziemia Chełmska” na marginesie życzeń składanych KAJ-owi, założycielowi „Kamenu” pisze w PS: Aha... i aby te echa przypomniły Twoim pomazaniem izomorficzną popoimie Kamenowej boginki. A pewien autor w jednojónce „Zwierciadło” w „Bajce o błękitnych jajkach” zauważa iluzyjnie: Tu lodowa wieś nas chłodzi, że maj zimny, maj zaucodzi... W „Kamenu” mamy już „Poste Restante”. Drugiego Hyde Parku tworzyć nie będzie. Nie tylko maj będzie zimny. Lipiec również.

Zycliwość nie polega na prawieniu komplementów, na oficjalnym mówieniu „cacy-cacy”, a gdy nikt nie widzi — śmianiu się w kulak. Jeśli jednak Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej ma możliwość wydawania od czasu do czasu jednojónki — niech będzie ona taką publikacją, którą można wszystkim bez żenady zaprezentować. I tego właśnie ciepło życia „zimny” MAJ

W Kraśniku bez schematu

Dokończenie ze str. 8

wokował dyskusją na temat właśnie obejrzanego meczu. Udało się, Młodzież zaczęła odczuwać potrzebę wygadania się, podzielenia się z kolegami dopiero co przeżytymi wrażeniami. Łatwiej już wtedy było zorganizować spotkanie z miejscowym sportowcem czy zawodnikiem. Później kierownik zainicjował w klubach wieczorki rozrywkowe. Trochę podczas nich tańczono, trochę słuchano muzyki, ale Borkowski tak układał terminarz owych spotkań, aby zbiegały się one z występami Teatru Telewizji. O właściwej porze wyciągał magnetofon a włączal, jak gdyby w przerwie, telewizor. Chcąc nie chcąc, młodzież zaczynała zwracać uwagę na to, co się dzieje na ekranie. Dalej, jak w przypadku sportu, poszły rozmowy na temat oglądanych spektakli, a następnie spotkania z aktorami i reżyserami zapraszonymi z Lublina. Tak wyłonił się w klubie „Femina” Klub Miłośników Teatru Telewizji.

Chyba najtrudniej przyszło Borkowskiemu zorganizowanie teatrzku poezji. Nikt z klubowiczów nie posiadał jakoś aspiracji „aktorskich”, a poza tym nielicznych chętnych do uczestniczenia w imprezie paraliżował strach przed „wyglupieniem” się przed kolegami. I tutaj jednak kierownikowi udało się przezwyciężyć nieśmiałość: w połowie bieżącego roku odbyła się w klubie premiera przedstawienia „Kwiaty białe-czerwone”, w którym wykorzystano teksty Marii Jasnorskiej-Pawlikowskiej i Kamila Baczyńskiego. Obecnie ta sama grupa ludzi z całym samoparciem przesiaduje na próbach koleżnego wieczoru poetyckiego, na który złożą się ballady Okudźawy i romanse Werdyńskiego.

Za to zupełnie bez oporów przeszedł pomysł założenia muzycznego zespołu beatowego. Dzisiaj „Pastele” mają już nie tylko w Kraśniku Fabrycznym, ale i w okolicy wyrobioną markę; podczas swego niedługiego istnienia zespół występował na imprezach pozakulobowych ponad czterdzieści razy. Tutaj warto odnotować bardzo interesującą imprezę pod nazwą „Fonorama”, zorganizowaną w amfiteatrze w Kraśniku Lubelskim. Połączono w niej muzykę z efektami wizualnymi — podczas występów zespołu wyświetlano na stojącym w głębi sceny ekranie abstrakcyjne filmy Mc Larena.

Jedną z najprzyjemniejszych form pracy klubu są tzw. „wieczory przy świecach” — wieczory autorskie lub spotkania z ciekawymi ludźmi, zazwyczaj kończące się dyskusjami, a odbywające się w szczególnie ciepłym nastroju, jaki daje i życzliwa atmosfera i przyćmione światło i samowar zawsze przy takich okazjach szumiący na stole.

Można by tutaj wymienić jeszcze szereg mniej lub bardziej stałych imprez, jak zajęcia Uniwersytetu Robotniczego TWP ze studium wiedzy estetycznej, studium wiedzy o filmie i teatrze, zajęcia Wieczorowej Szkoły Aktywu czy „Stereo-pytoteke” — wieczory muzyki poważnej z płyt, a wszystko to składające się w sumie na ponad dwieście imprez w ciągu roku. Ale przecież nie chodzi o tasiecowe wyliczanki, ale o wyeksponowanie faktu, że przy pewnych chęciach i odpowiednim podejściu nawet jeden człowiek i nawet w bardzo trudnych warunkach potrafi rozkłębić działalność kulturalną, budując szacunek dla jego pracy.

Borkowski stawiał zawsze na pierwszym miejscu sprawę odkrywania przez samą młodzież potrzeby kultury nie przez narzucanie gotowych i niezmiennych form, ale przez ciągłe inspirowanie, niejako mimochodem podsuwanie i podpowiadanie pewnych pomysłów, które młodzież sama już podejmowała i rozwijała. I to jest chyba jego największą zasługą. Mówi często o „wybiegowej” — jak to określa — roli podległych mu klubów, to znaczy przygotowującej młodych ludzi do brania żywego udziału

tu w życiu kulturalnym środowiska, do którego wejdą po opuszczeniu hotelu robotniczego, gdy otrzymają samodzielne mieszkania i założą własne rodziny. Spodziewa się, że ci ludzie nie zamkną się w przyszłości w swoich czterech ścianach przed ekranem telewizora.

Jedni chwala klub „Femina”, inni spoglądają na jego pracę z zazdrością, a może i z odrobiną zawiści? Tak jednak czy inaczej faktem jest, że to jedyny klub w Kraśniku Fabrycznym, mogący pochwalić się konsekwentną a pozytywną działalnością. Co jest w końcu tym bardziej zaskakujące, że ta placówka kulturalna bez przerwy boryka się z różnymi trudnościami natury kadrowej i finansowej. Brak odpowiedniej ilości sprzętu audiowizualnego, brak wygodnych, estetycznych mebli, ustalonej dotacji na działalność merytoryczną, a przede wszystkim brak kadry instruktorskiej. Trudno przecież, żeby sam Borkowski prowadził równocześnie zajęcia w trzech różnych budynkach i żeby miał pięć nad kształtowaniem kultury zamieszkałych w nich młodzieży, biegając z bloku do bloku. Każdy zapal kiedys się wreszcie kończy, a szkoda by było zaprzepścić to, co dotychczas zostało zrobione.

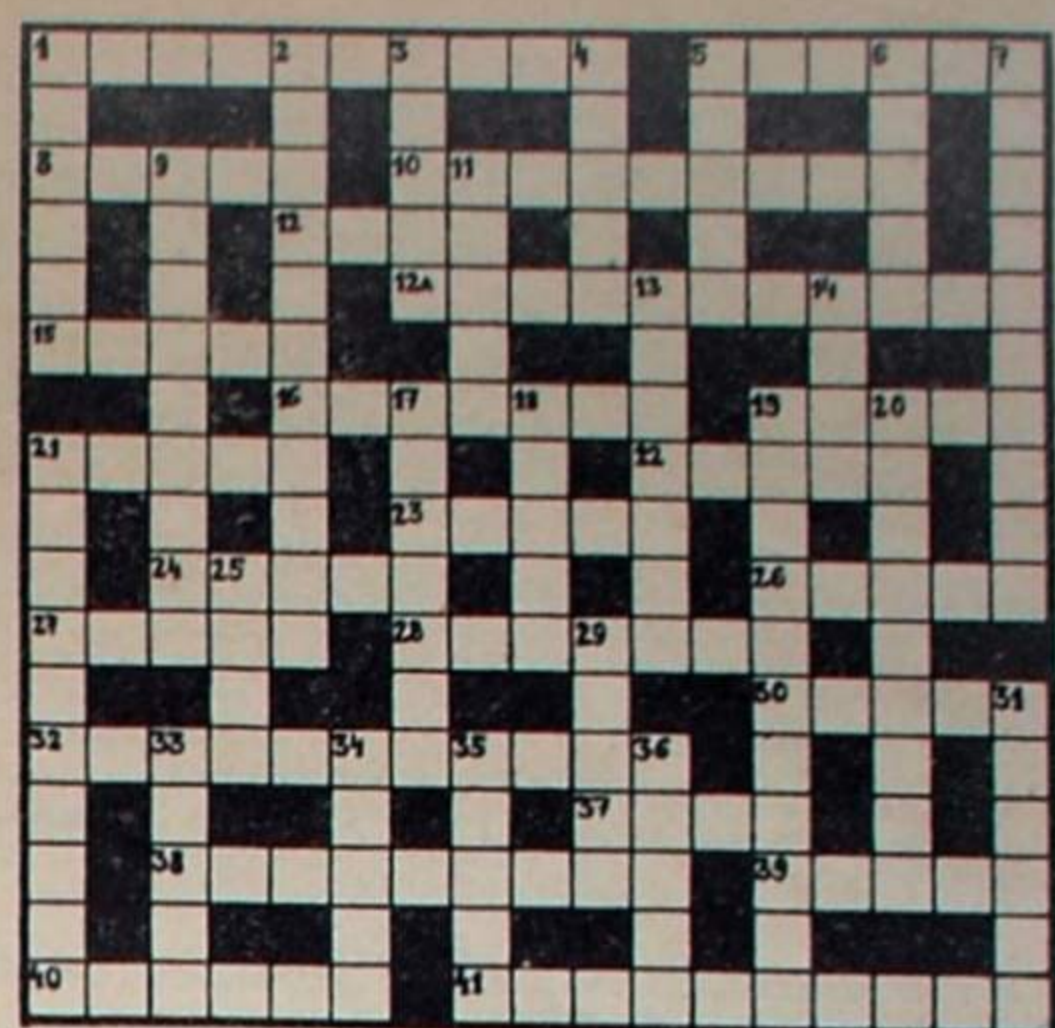
Mirosław Derecki

Krzyżówka nr 23

FOZJOMO: 1. wielki rewolucyjny poeta radziecki, 2. połączone Kieje drewna spawane woda, 3. odnoga ujęcia Wisły, 4. obicie siedzeń samochodów, 5. miasto w środkowej Francji nad Rodanem, 6A. współczesny pisarz polski, 7. państwo południowo-amerykańskie, 8. wyspy koralowe, 9. rzeka północno-wschodniej Polski, 10. państwo azjatyckie u stóp Himalajów, 11. wiedeński na bur-lacu ludzi wiosnowej, 12. pierwsze pismo socjaldemokratów Rosji, 13. magazyn starożytny, 14. rozkładane wboje, 15. nowotwór w kształcie wozeczka, 16. Troja, 17. francuski pisarz, przedstawiciel racjonalizmu wczesnego oświecenia, 18. największy dopływ Wólgi, 19. człowiek wyprzedzający innych w jakiejś dziedzinie, 20. stan w USA, 21. Jona Kazimierza Wielkiego, córka Gedymina, 22. pisarz polski, autor wielu powieści historycznych.

PIONOWO: 1. drobna grywna wymierzona przez milicjanta, 2. pisarz ukraiński, który wprowadził język ludowy do literatury, 3. produkcja metali w wielkich piecach, 4. największa wyspa w archipelagu Pituluz, 5. tendencja rozwojowa, 6. sen hipnotyczny, 7. odkrył, że ciało zanurzone w wodzie traci pozornie na wadze tyle ile wazy wyparta przez wodę, 8. fabryka skór, 9. miasto w Turcji nad Morzem Śródziemnym (wspak), 10. drobne roślino-borne gryzonie, 11. materiał opatrunkowy, 12. suma wypłacona za coś, 13. waluta amerykańska, 14. znany francuski poeta awangardowy polskiego pochodzenia, 15. okres czteroletni między Igrzyskami, 16. naboż zażywania środków odurzających, 17. słaska gra w karty, 18. miasto powiatowe i uzdrowisko w woj. kieleckim, 19. miasto u stóp Wezuwiusza we włoskim języku, 20. urządzenie powodujące poruszenie się pojazdu, 21. worek podróżny, 22. litera y w matematyce, 23. skrót, straszzenie.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skrytka pocztowa 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 21

Pozjomo: Lermontow, onkolog, kasta, Awentyn, Tukidydes, Corso, rakarz, Strindberg, Awar, Ishtar, molił, kurs, zółw, konto, El Paso, Wkra, wampiryca, Orsini, Elwan, echosonda, oponczka, kolce, Trampola, Boccaccio.

Pionowo: lokacja, resursa, orator, Tonkin, wsad, opad, kiesa, Litwa, Gonczarow, Wergiliusz, straszaki, Krzy-

żowy, Hlakowicz, demon, Troki, Ksenofont, Kawalec, Oceania, ranier, Arkady, stota, Necko, hala, sryb.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 21 nagrody wylosowali: Bogdan Biskiewicz, Wrocław ul. Rejtana 8 m. 5. Danuta Cholewińska, Lublin, ul. I Armii WP 5/3. Adam Kosela, Lublin 17 ul. Haladyny 12/2. Joanna Kotlarczyk, Łódź, ul. Narutowicza 22, m. 7.

Listy do KAMENY

„Dwójka dla kogo?”

Autora felietonu „Dwójka dla kogo?”, zamieszczonego w 21 numerze „Kamenu”, interesuje opinia czytelników na temat poruszonej w publikacji; chodzi o demoralizujący wpływ młodych „bananotców” na rówieśników ze szkolnej ławy. Jestem nauczycielką, więc na co dzień staję się z tym problemem i znam jego wagę. Wielokrotnie starałam się rozwiązywać go własnymi siłami doświadczonego, podobno, pedagoga, lecz ze smutkiem przynajmniej do porażki. Doprawdy, my, nauczyciele, jesteśmy bezradni wobec poczynań niektórych dobrze sytuowanych rodziców, którzy stają na głowie, aby zaspościć wszystkie zachcianki swoich dzieci, nie oglądając się na to, jaki wpływ na psychikę chłopaka czy dziewczynki wywiera jego lepsza pozycja w stosunku do kolegów. Taki młodzieniec potrafi gardzić resztą klasy, bo tej reszty nie stać na samochód, na drogie ubranie. Mało tego, ta pogarda przenosi się ostatecznie i na wychowawców, paradykujących po szkole w skromnych garniturkach i sukniach. W młodej świadomości wykształca się bowiem specyficzny sposób wartościowania ludzi: według ich zarobków, według zamożności. Im kto zamożniejszy, tym lepszy, wszystkie inne wartości są bezradne, jakże tam humanistyczne ideały mogą mieć bledaków, którzy zamiast własnym samochodem zmerzają do szkoły pieszo lub autobusem miejskiej komunikacji.

Niestety, rzeczywistość często okazuje się bardzo łaskawa dla tych „wybrańców”, bo za pieniędzmi rodziców idą wpływy społeczne, które docierają i do szkoły. Nie raz odczułam na własnej skórze, ile razy musiałam zdecydowanie odrzucać sugestie, mówiąc opanie, zarównu owych rodziców, jak i kierownictwa szkoły, które dla świętego spokoju radziło mi, aby nieuka i łobuzza potraktować ulgowo, przepuszczając do następnej klasy. Jak do tej pory, jakoś sobie radziłam z tymi „sugestiami”, czego nie mogę powiedzieć o wszystkich swoich kolegach. A pozostał uczniowie mają zdolność, jak każdy młody, ostry obserwacji, która nierazko prowadzi do wniosku, że rzeczywistość, pieniądź jest wartościową najmocniejszą.

Rozmawiałam wielokrotnie z rodzicami, którzy dają swoim dzieciom znacznie więcej, niż one potrzebują, starałam się wyjaśniać, jakie smutne następstwa moralne rodzi nadmierne preferowanie jednostek. Ci rodzice zupełnie nie pojmowali, o co mi chodzi, byli zdziwieni, że robię z tego problem. Odpowiadali zazwyczaj, że jeśli oni sami młodość spędzili w biedzie, to niech przynajmniej ich dzieci zagnają dobrobytu. Nierazko dowcipkowali, że najlepszym rozwiązaniem zagadnienia byłoby kupienie np. samochodu do wszystkich pozostałym uczniom, że socjalizm ma zapro-

wadzić ludzi do dobrobytu, więc oni, w miarę swoich możliwości, wyprzedzają marsz do lepszego jutra... Nie należało do rzadkości krótkie odpowiedzi w rodzaju: „a co to panię obchodzi, przecież to nie za pani pieniądze...”

Z prawdziwym przygnębieniem obserwuję, że pieniądź coraz bardziej umacnia się na szczycie młodzieżowej hierarchii wartości, na co ogromny wpływ posiadają postawy moralne starszego pokolenia.

Widocznie rozwiązanie problemu wymaga dłuższego czasu, a może też nowych metod działania. Fatalne obyczaje, o których wspomina MAJ, są tylko pochodną fetyszyzacji wartości materialnych przez część naszego społeczeństwa. Fetyszyzacja zaś jest możliwa wobec faktu istnienia teraźniejszego zarobku. Uczciwa praca umożliwia egzystencję. Niejednemu to wystarczy; bo potrafi czerpać z niej znaczące satysfakcje np. z dobrze wykonanej pracy. Apetyty innych sięgają w odmiennych kierunkach, efektownych, a więc działających na wyobraźnię młodych, którzy na domiar uszczyśliwego przekonują się na co dzień, że Artur z samochodem jest lepszy od Kasia bez samochodu.

Alicja Porębska
Warszawa

„Miłość - domena kobiety”

Pragnę redakcji podziękować za ujawnienie nazwiska i sposobu myślenia autorki odcinkowej powieści „Smak miłości i lez”, które to dzieło drukowałicie przez czas dłuższy, krzepiąc serca spragnione miłości czytelnicy, idealnie, w pejzaju i w stodołę. Dobrze jest wiedzieć, że za dziełem stoi autentyczna wyobraźnia literacka i rzetelne widzenie świata, bez retuszu przeniesionego na papier. Bo przecież tekst wywołuje, prezentujący mentalność autorki, bez reszty przywiera do treści znakomitej powieści, jej bohaterka to przecież idealowe alter ego pisarki. Wzruszają też filozoficzne uogólnienia Walerii Sulimskiej w rodzaju „są ludzie i ludziska”, „nie zastanawiam się nad tym”, „jak się ludzie kochają szczerze i serdecznie, czego dziś raczej nie można spotkać”.

Dziękując ośmielam się jednak zauważyć, że zapowiadany druk dalszej części „Smaku miłości i lez” uważam za namaliar życiowości wobec czytelnika. Namówcie, przecież młodoci i nieletni biorą „Kamenu” na serio, z całym dobrodziejstwem inwentarza, o czym świadczy listy do redakcji, wynoszące pod niebiosa odcinkową powieść o technicolorze. A jeśli już nie nie może wpłynąć na decyzję redakcji, napiszcie wyraźnie na początku drugiego tomu, że to jest klasyczny przykład literackiego kiczu, drukowanego w celach przewrotnie dydaktycznych.

Jerzy Grzegorzewski
Zamość

Jak umiera zabytek...

Dokończenie ze str. 7

tym szkoła i tak nie miała na ten cel środków. Koło zamknęło się w chwili, gdy PKZ wybudowała w pobliżu dworku dwie szopy, które miały podobno służyć do rozbiórki. Te obskurne budy zeszpeściły tylko teren, a pożytek z nich był taki, że ludzie rozebrali je na deski. Wydałem pieniądze na dokumentację, która się nikomu nie przyda. Gdyby za te 80 tysięcy można było zabezpieczyć i podreperować budynek sposobem gospodarczym, może uniknęło by się tego cięgiego marnotrawstwa. Plik papierków nie chroni przed grzybem, a zabytek ginie w oczach.

Wieczoram w parku zbiera się „gromada”, piją wino, zaczepiają dziewczęta ze szkoły, rozbijają resztki szyb we dworku, a nawet kiedyś w środku rozniecił ogień. Szkoda, że wtedy nie spłonął, byłby wreszcie kłopot „z głowy”.

Wojewódzki Konserwator Zabytków ma nieco odmienne zdanie w tej sprawie. Istotnie, polecił Zasadniczej Szkole Rolniczej przeprowadzić prace odgrzybiające i remontowe. Sprawa ciągnęła się długo, wymiana pism trwała, WKZ miał zastrzeżenia do dokumentacji, wysłał również pismo interwencyjne do dyrektora szkoły w związku z przeciąganiem się terminu rozpoczęcia prac. A dworek czekał. Gdy w końcu została wykonana dokumentacja remontu na miejscu, szkoła nie miała już na to środków, co więcej, nie było gwarancji, że te środki otrzyma. Wobec takiego stanu rzeczy Muzeum Wsi Lubelskiej wystąpiło o decyzję przeniesienia obiektu do skansenu. WKZ zezwolił ze względu na możliwość zapewnienia stałej fachowej opieki, nadzór i konserwację. Następnie została zawarta umowa z lubelskim oddziałem Pracowni Konserwacji Zabytków na przeniesienie do roku 1974. Przy tej operacji, jak zapewnił konserwator, częściowo wykorzysta się istniejącą już inwentaryzację. Ale na tym nie kończy się bynajmniej sprawa „Lamusa”, bowiem dyrektor PKZ nie gwarantuje rozpoczęcia prac rozbiórkowych w tym roku. Powód? Cytuje: „brak sił ekonomicznych, a poza tym niepoślednie kłopoty z dojazdem do skansenu i lokalizacją obiektu na tym terenie. Musimy czekać na innych wykonawców”.

Kończąc relację. Pora na garść wniosków.

Dworek w Żyrzynie nie jest, niestety, jedynym zabytkiem na Lubelszczyźnie, który niszczeje — czasem z powodu mało elastycznych przepisów, częściej — na skutek braku dobrej woli ludzi.

Decyzja przeniesienia „Lamusa” do skansenu w jego obecnym sta-

nie jest o kilka lat spóźniona i wydaje się nienajszczęśliwszą. Po pierwsze — za pozostawieniem go w Żyrzynie przemawia fakt, iż znajduje on niepomniernie atrakcyjność w naturalnym otoczeniu pięknego parku. Po drugie — suma, jaką trzeba będzie wyłożyć na remont, transport i budowę w skansenie sięga kilku milionów złotych. Dla porównania: dworek Pola pochłonął milion dwieście tysięcy bez kosztów rozbiórki. „Lamus” ma kubaturę czterokrotnie większą.

Tak czy inaczej się z nim stanie, jedno jest na razie pewne: piękny zabytek budownictwa drewnianego straszy metrowymi dziurami w ścianach i chociaż są decyzje co do jego losu, gnije jak gnil.

Jak w podobnych, tak i w tej sprawie nie można palcem wskazać winnego zaniedbań. Granice kompetencji odpowiedzialnych instytucji nie sięgają w zasadzie dalej niż wymagają tego papierkowe przepisy. Szkoda.

Satyryk napisał w wierszu: „... w biurkach trzymają kompetencje, wśród niedomówień i przemilczeń”. A mówi się, że współczesna poezja utraciła kontakt z rzeczywistością...

Marek Kusiba

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WĄSNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Informacji w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer tamal KONSTANTY KEPA
Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 23

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LZ:Graf. Zam. 2345. 18.X.72. 12.791. D-9

Kamena str. 11

Gdzie zaprenumerować „Kamena”?

W związku z licznymi zapytaniami informujemy, że zamówienia na prenumeratę „Kamenu” od instytucji i zakładów pracy przyjmują wszystkie jednostki powiatowe „Ruchu” i urzędy pocztowe w miastach i na wsi. Prenumeratę indywidualną mogą opłacać prenumeratę w urzędach pocztowych i w listonoszy, albo bezpośrednio dokonywać wpłat na konto PKO Nr 2-6-544 — Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch” w Lublinie, ul. M. Buczka 24.

Termin zgłaszania zamówień do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty krajowej wynosi: kwartalnie 13 zł, półrocznie — 26 zł i rocznie — 52 zł.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę (jest ona droższa o 40 proc. od ceny prenumeraty krajowej) przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, konto nr 1-6-100024.

Nasze wytwórnie — tak radzę — winy się nazywać podobnie: NAWALA-film...

FRASZKI

KRAKOWIANKA JEDNA...

Krakowianka jedna miała chłopca z drewna — był to, biorąc w sposób ścisły, taki Pinokio znad Wisły!

DO SZTAMBUCHA NASZEJ TV

Zbyt rzadko nadaje telewizja audycję „Godzina Orfeusza”, za to zbyt często — muszą wyznać godziny... Morfeusza...

UWAGA FILMOWA

Wytwórnia filmowa w Belgradzie nosi nazwę AVALA-Film.

NAGROBEK SPEKULANTA

Napis jak ulal wedle łacińskiego wzoru: Tu leży spekulant in s(P)aecula s(P)aeculorum...

NA SUKCESY NASZYCH MUZYKÓW

Młodzi nasi pianiści osiągnęli wciąż światową sławę — jak w starej pieśni to brzmi uroczycie: „Tysiąc Palecznych opuszcza Warszawę...”

MYŚLIWY

Najwięcej wtedy rozczuła się, jak pięknie tokują głuszcze, kiedy w porannej mgle ma głuszcza na muszce...

NOS

Jeżeli dobry ma wieszcy mag nos, zawiedzie on go do słusznych diagnoz.

BEZ SUKCESU

Braknie na pewno sukcesu perspektyw tym, co od zwykłych zaczęli inwektyw.

NA PEWNEGO FRASZKOPISA

Gdy pisze fraszki, musi czymś zakropić — a więc powiedziano, że to jest flaszkopis.

SZKODA, ŻE...

Szkoda, że nasz ziemski padół jest domeną tyłu gadu!

GRY KRAKOWSKIE

Tygodniowa gra: Lajkonik. Codzienna gra: Chlajkonik.



Rys. A. Stok



Rys. L. Szalecki

minuta myślenia

Kto szkodzi sztuce?

D czasu do czasu czytamy uwagi na temat antagonizmu między dzisiejszym społeczeństwem a sztuką. Zawsze przy tym mam wód do lekkiego uśmiechu. Pisze się bowiem o barbarzyństwie współczesnego człowieka ani rusz nie zdradzającego ochoty do odbioru sonetów, trioletów, esejów, spondejów, a nawet collage'ów i kompozycji przestrzennych. Jakże... kłamliwie. Tak, to nie pomyłka drukarska. Kto jest dzisiejszym wrogiem sztuki? Zgodzi: jest nim długo-

włosy młodzieniec, który o zmierzchu zacierającym kontury miasta i czujność MO uprawia dryf między drzwiami kawiarni, gdzie się sprzedaje piwo. Ale czy wystarczy obciąć mu włosy oraz kupić egzemplarz „Poezji” z wierszami Romana Karaska, czy „Nowego Wyrazu” z wierszami Romana Karaska? Nie wystarczy, ponieważ długowłosy młodzieniec jest głównym wrogiem sztuki. Jest nim atmosfera panująca w samych ośrodkach przekazu wytworów sztuki rzeszowski odbiorczy. Z tym, że owym ośrodkiem może być pojedynczy autor. Na czym ta atmosfera polega? Na zagubieniu obiektywnych miar artystycznych. O nie, proszę przedwcześnie nie triumfować. Mówiąc „obiektywnych” nie mam na myśli „dających się wydedukować z samej materii tworzywa”. Takich rzeczywiście nie ma. Mówiąc „obiektywnych” mam na myśli „w jednakowym stopniu dotyczących każdego autora”. A to różnica. To, co jest „hobby” (czyli nie: „tendencją społeczną”, ale „sytuacją” w życiu artystycznym) tak się rozpanoszyło na wszystkich polach, że nie pomoże już chyba żaden środek „hobbobójczy”, bo ten będzie użyty przez ekipę skorumpowaną. W ośrodkach publikacji potworzyły się „solidarności środowiskowe” — tak zwarte, że jedynym sposobem jakiegoś takiego złagodzenia ich apriorycznych prekluzji jest nie zauważać ich istnienia. Udać, że wszystko jest w najlepszym porządku na tym najp-

szym ze światów. Poruszać „problemy”, a nie ewidentne podłości. Co więc powinien przedsięwziąć ten „adept” pragnący uzyskać powodzenie w życiu artystycznym, szczególnie literackim? Po pierwsze — znaleźć się w obrębie działania jakiejś zorganizowanej już „grupy nacisku” (tak też tłumaczy się „hobby”), następnie — nie zaszkodził pomyśleć o jakiejś małej deklinacji homoseksualnej. Utwory mogą pojawiać się później. Na pewno będą kupione na pniu przez nie jedno czasopismo, a znani i nieznani krytycy literacy w podziw wprowadzą czytelników ekwilibrystyką ujęć krytycznych. Oczywiście nie przeszkodzi to im później oskarżać tychże czytelników, kiedy się odwrócą od tak powstałych i tak zaprezentowanych „wybitnych osiągnięć”. Następnie — w ogóle od literatury. No, nie konieczne z tym erotycznym przechylem. (Chociaż wskazany). Są jeszcze manifesty. Paru młodych ludzi może nie tylko się nie znać. Może się nie znać na poezji. Wystarczy jedna, dwie wódki. Nie inaczej powstaje grupa. A kiedy grupa, to i manifest. Co za piękna, buńczuczna nazwa. „Manifestem — jestem”. Strzeżliwy manifestem jestem i ja. Twórcą. Z upadła w narodzie autorytet człowieka sztuki. Mon Dieu, przecie nikt nie przykłada ręki do prometejskiej, jak to drzewce-

bywało. I upada on sobie nie tylko ze względu na kulturowe i socjologiczne przeobrażenia współczesności. Również — ze względu na całkiem zwyczajne, nie spowodowane „duchem historii” odstępstwa od norm moralnych w środowiskach artystycznych. Nie tylko pogoń za pseudosukcesem, ale staranie o pozabawienie sukcesu kogoś innego. Nie tylko nieposzanowanie wartości u przedstawiciela przeciwniej grupy, ale hosanna nad kiczem kłopotliwym. W intrzygach z trzaską godności osobistej. Na razie zwyciężyć w przetargu, później będziemy sobie filozofować na temat humanistycznych pierwiastków postawy ludzkiej. Jarosław Iwaszkiewicz na wrześnie „widnokregu” („Twórczość” nr 9, 1972) ujrzał zagrożenie dla wartości artystycznych ze strony młodego pokolenia. Warto by widnokreślone rozszerzyć i zauważyć to samo szał w postaci zakamufłowanej, ze strony artystów. Wyraża się ono nie tylko w tym, że ci ostatni obawiają się posadzenia o „wapiactwo”, więc milczą. Wyraża się przede wszystkim w tym, że swoim postępowaniem dawno już zdeprawowali wziarunek twórcy jako człowieka szczególnie uczuwalnego na wartości duchowe, predysponowane do nadawania tonu życiu społecznemu: takt, postawa, godność. A że podjęcie staran o ich przywrócenie wymaga odwagi — no tak, tu kwestii nie ma.

Ijon

Noty i notki

„Klucz do Unistawskiego” — tak w telewizyjnym przeglądzie prasy (22 ub. m.) powiedział lektor omawiając jeden z artykułów „Tygodnika Kulturalnego”. Kim jest ów Unistawski? W Wielkiej Encyklopedii Powszechnej odpowiedniego hasła nie znalazłem. Szybko pobiegłem do kiosku „Ruchu”. Spod sterty czasopism sympatyczna pani wydobyla „Tygodnik Kulturalny”. Kamień spadł mi z serca. Znalazłem pracę Mariana Placheckiego pt. „Klucz do Unistawskiego”. Gdyby lektor wymienił jeszcze nazwisko autora, usłyszełbyśmy zapewne: pobra Mariana Piechała.

„Kurier Lubelski” zamieścił 22 ub. m. zdjęcie stewardessy z podpisem: „Do Pragi przybyła słynna jugosłowiańska stewardessa Vesna Vulovic...” To samo zdjęcie ujrzałem tego samego dnia w „Zyciu Warszawy”. Podpis był taki: „21 hm. na lotnisku międzynarodowym w Warszawie odbyła się niecodzienna uroczystość. Jej bohaterką była stewardessa PLL „LOT”, Krystyna Szymańska...” Na zdjęciu widać tylko umundurowaną panią i fragment samolotu, nie wiem więc, czy chodzi o Pragę czy Warszawę. Jedno jest pewne: Vulovic i Szymańska nie są bliźniaczkami...

Zbigniew Domino relacjonuje w „Profilach” spotkanie z poetą gruzińskim, Michą Kwilwidze. „Micha tłumaczy Herberta, Różewicza, jest znakomicie zorientowany we wszelkich nowinkach poetyckich świata, ale pisze tradycyjnie. — Czemu nie próbujesz innego stylu? — Co znaczy być poetą bez czytelników? — Odpowiedź gruzińskiego poety dedykuje „uzdrawiaczom” poezji polskiej. A swoją drogą w październikowym numerze wspomnianego rzeszowskiego miesięcznika nie znalazłem ani jednego wiersza. Jestem milką w Rzeszowie muzy?

Szczecińskie Towarzystwo Kultury i Towarzystwo Przyjaciół Szczecina wydały jednodniówkę (?) „Wzety”. Podtytuł: forum młodych. Ale zespół redakcyjny pisze w słowie wstępnym: „Lamy naszego „forum” udośćpniamy dzisiaj nie tylko młodym”. Miło przeczytać, że raz jest odwrotnie. A swoją drogą w tychże „Wzetych” starzy piszą jak młodzi, a młodzi... „Kolyanki”!

„Student” (krakowski dwutygodnik społeczno-kulturalny) donosi (od donos), że miesięcznik „Nowy Wyrz” drukuje teksty, które uprzednio już w innych pismach ujrzały światło dzienne. Pretensja nieuzasadniona: gdy owe teksty ukazały się na łamach np. kłódzkich „Zbłizeń”, „Nowy Wyrz” jeszcze nie istniał. A dla jednego czy dwóch przedruków nie warto przecie zmieniać tytułu na „Stary Wyrz”. Mielibyśmy zresztą w Polsce więcej takich „Starych Wyrzów”!

(mj)

Odpowiedzi redakcji

J. Z. Wronów. Pisze Pani, że nie posiada wiedzy o pisaniu, natomiast potrzebę pisania. To, niestety, do druku nie wystarcza. M. D. Lublin. „Dziewczyna miała dziwne piękno! Tak jak dziwna /jest uroda narodzonego niemowięcia”. Gdzieśmy tę „dziwność” już stylizeli? „Gilbert”. No dobrze, ale nie znamy pańskiego narzwiska. J. O. Lublin. Czy naprawdę sądzi Pan, że wystarczy wnieść opis wydarzenia, by wywnioskować z tego utwor literacki? Cóż by to było za ułatwienie dla autorów! Niestety, potrzebna jest do tego umiejętność kreacji artystycznej. Ba, nawet w reportażach! „Waledek” Lublin. Nie możemy całkowicie zaaprobować pańskich wierszy, ale całkowicie przekreślić też nie. Są w nich momenty prawdziwego poetyckiego zastuchania (czy zapatrzenia), ale, niestety, również sporo banałów i łatwizn. Proponujemy coś w rodzaju poetyckiego rachunku sumienia. Może nie odpowiada Panu rodzaj stosowanej poezji? Czasem ktoś bardziej się nadaje do fortepianu niż do skrzypiec i dopiero z czasem to odkrywa. Radzimy się zastanowić. Z. S. Z. Opatoń Kielecki. Nie będziemy nic radzić, ponieważ widać, że posiada Pan już własną orientację poetycką i nie wymaga stwierdzeń na etapie poleceń. Co najwyżej z ciekawością będziemy obserwować pańskie dalsze kroki. Wydaje się jednak, że mimo pewnego widocznego procesu ku koncentracji i kondensacji słowa daje się Pan od czasu do czasu powodować urokiem łatwego „spontyzmu”, wyrażającego się w banalnych okrzykach jak „Nie! Dosyć!” itp. W ogóle ten przestający sztafaż poetycki, który jest dziełem Młodej Polski całkowicie w pańskich wierszach jeszcze nie jest pojętym. Przykładem „Addagio cantabile”. Na szczęście — widać, że to tylko relikty, które z czasem ustępują całkowicie. R. K. W pańskich wierszach mieszają się świeżość spojrzenia i sformułowań ze zwrotami oklepanymi. Trzeba to ostatnie wyeliminować. I mniej liczyć na „samorodność”. Lektura poezji daje ten szeroki kontekst, który jest potrzebny niezależnie od własnego stanowiska. B. B. Bilgoraj. Zupełnie nie o to chodzi. Mówi Koleżanka językiem, który jest nie do przyjęcia nawet w zwykłej rozmowie, a co dopiero w wierszu, który ma być świadectwem specjalnie sprawnego operowania słowem. Zdarzają się w Pani tekstach zwykłe nieporadności stylistyczne. Najpierw nauczymy się formułować myśli, a troszkę o poetycki ich kształt zostawmy sobie na potem.

M. O. Poznań. Wpadł Pan w pułapkę najłatwiejszej metafory dopelniającej. Proszę popatrzeć: „oboję jeleni”, „skrzypcy saren”, „włocześnie wiewiórek”, „żagiew złika”, „walcownie wilków”. Filharmonia plus zoologia. Można jeszcze — bębny świt, kontrabas krów, fortepianu baranów. Jeszcze wiele instrumentów i zwierząt. Czy na tym polega ruchliwość wyobraźni? I. B. Witoldów. Przyznajmy się, że bardziej „w nas trafiły” fragmenty listu, aniżeli tekst poetycki, chociaż nie zaprzeczamy, że i tam jest jakaś intelektualna zadziorność, która sprawia wrażenie. Trzy wiersze to jednak za mało, żeby wyrobić sobie wyraźny pogląd. Może coś jeszcze otrzymamy? P. G. Radom. Tak, my też jesteśmy tego zdania. Poezja jest czymś nieokreślonym. Sam wyraz wywodzi się od greckiego „poiesin”, co znaczy „działac”. Tylko. Ale czyż nie zaszczytno to wyróżnić poezji, jeżeli uznaje się ją za najistotniejszą formę działania? Właśnie — aktywność umysłowa i psychiczna. M. in. właśnie tym jest poezja. J. G. Krasnik Fabryczny. Wykazuję Pan chyba nadmiar skromności. Gdyby tak wszyscy autorzy... Sądziwy jednak, że do podjęcia decyzji w kwestii pisać — nie pisać nasza rzeka nie jest potrzebna. Zdecydował Pan sam, a jakoś utworów czytni pańska decyzja uzasadniona. Wolelibyśmy jednak zamiast inicjału znać narzwisko. W. P. Szczepczyszyn. Kiedyś był o to spór „na łamach”, że jest poezja kobieca i poezja kobieca niekobieca. Niezależnie od tego, o ile określenie oddaje istotę rzeczy, do tej drugiej należy Jaśna-rzewska-Pawlikowska, Hlakowiczówna, Szymborska, Kulmowa. To są dobre wiersze. Niech Pani zrzęgnie z chęci na taryfę ulgową, o jakiej Pani mówi z racji swojej płci. Z. G. Parczew. Tak, przede wszystkim masa doświadczenia życiowego, doznań, obserwacji. Ale to nie wystarczy. Pisarstwo to umiejętność organizowania tego materiału dla celów artystycznych. Można przeżyć zdradę kilkudziesięciu kochanek i nie umieć powiedzieć o tym ani słowa. Przesztaniemy dowierzać przeżyłom. Trz. „szczęście” to dla początkującego pisarza całkiem kłopotliwy sojusznik. Co nie oznacza, że należy klamać. Tylko inaczej wygląda prawda życia, a inaczej realizuje się ona środkami artystycznymi. P. R. Włodawa. Niezależnie od tego, że każdemu utworowi potrzebny jest autentyczny przeżyty jego autor, sam on nie wystarczy. Wiersz — obojętnie na jaki temat, obojętnie z okazji jakiego doznania — jest pisany całą sumą przemysłu, całą osobowością poety. Właśnie dlatego tak nas zajmują „najlepsze” nawet wierszyki o wróbelkach, jeśli są pisane przez prawdziwych poetów. Tematem w poezji nigdy nie jest opisywany przedmiot. Zawsze — suma przeżyć, doświadczeń, przemysłu autora.

WALERIA SULIMA



Dziś drugi odcinek drugiej części serialu prezentuje „Poste Restante”. Nina i Mariusz, dzieci Niny i Zbyszka Sakowskiego, są już pełnoletnie. Ona rozpocznie wkrótce studia na medycynie, on — zostanie zaopatrzeniowcem. Na razie jada do ks. Mariusza, tego samego, który tak nieszczerliwie kochał się w ich matce...

(2)

Upalny był lipiec tego roku. Nina i Mariusz uciekali się, że to już Kołowa, bo w autobusie grzało niemiłosiernie. Ale i na dworze upał dobrze dawał się we znaki.

Książki Mariusz siedział na ławce, nad którą rozkładał gałęzie rozłożysty kasztan. Na widok młodych jego twarz ozłocila uśmiechem, a serce zabiło gwałtowniej. Te lata minęły jak z bicza trzask. Mariusz wyrósł i stał się świetnie zbudowanym mężczyzną. Jego czarne włosy błyszczały w słońcu. Pod długimi rzęsami kryły się ciemnobrązowe oczy. A Nina? „Boże — pomyślał książka — jakże ona podobna jest do matki!” Przez moment wydało mu się, że czas cofnął się ćwierć wieku. — Wujku, wujaszku, jesteśmy — zawołała Nina. Usiedli obok niego. Gospodyni przyniosła dzbanek zimnego mleka, który natychmiast opróżnili. Później weszli do mieszkanca i zasiedli przy zastawionym stole. Po obiedzie książka przyniósł z drugiego pokoju album z fotografiami. Na jednej z nich uśmiechała się młoda kobieta. — To wasza matka — powiedział i oczy jego zaszkliły się łzami. Nina i Mariusz długo wpatrywali się w twarz tej, która zmarła w tak tragicznych okolicznościach. — Wujku, a nie masz zdjęcia naszego ojca? — zapytał Mariusz. Książka bez słowa przelożył kilka kartek

albumu. Na jednej z fotografii widniała grupa chłopców. — O, ten — wskazał na barczystego młodzieńca — jest waszym ojcem. A obok niego stoję ja. Poznacie? Spogłądali milcząc. Cisza trwała długo. Przerwał ją Mariusz: — A wujek nie ma innych zdjęć mamusi? Chciał powiedzieć, że oprócz tego zdjęcia nosi w swoim sercu wierny obraz Niny Grodzkiej-Sakowskiej, ale głos ugrzązł mu w gardle. — Wasza matka — rzekł cicho po chwili — była bardzo piękna. Była mądra i dobra. Zawsze ją kochałem i dlatego kocham i was. Łamiąc się głosem zaczął opowiadać tym młodym, których traktował jak swe własne dzieci, o tym wielkim uczuciu, które łączyło go z ich matką. Słuchali uważnie tego starzejącego się człowieka i tzy napływały im do oczu. — Ale ja nie tylko o tym chciałem wam dziś powiedzieć. Otóż po waszych dziadkach, Grodzkich, zostało trochę majątku. Wy jesteście jedynymi spadkobiercami. Sądzę, że do Mitowa nigdy nie wróciście, może więc sprzedać dom. Nabywcę już znalazłem. Daje 180 tysięcy złotych. To

jest przyzwoita suma, bo przecież dom nie jest w najlepszym stanie. Nina i Mariusz znieruchomieli. 180 tysięcy! Przecież to ogromne pieniądze! Nie, wprost nie do wiary. W tej chwili w kuchni daly się słyszeć czyjeś kroki. Gospodyni zapowiedziała przyjście pana Goździka. Wyjeżdżali z Kołowa, mając ze sobą 50 tysięcy zadatku. Resztę pan Goździk miał wpłacić po zalatwieniu formalności. W autobusie jakaś dziewczyna o odkrytych kolanach i włosach krótko ściętych pilnie przyglądała się Mariuszowi. Wzrok jej był tak przenikliwy, że nie uszło to u wadze Niny. — Znasz ją? — zapytała. — Kogo? — Nie, nie znam. — Ale dlaczego tak się zaczerwieńniesz? Nie wstydziłaś, co odpowiedzieć. Cały czas podróży czuła jednak na sobie czyjeś oczy. Nie wytrzymała i znów skierowała swój wzrok na stronę tej intrygującej dziewczyny. Dojechali na miejsce. I wtedy... (den.)